Nr. 43 (1502). Warszawa, 23 października 1909 r. **Rok XXIX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

O nowe stronnictwo.

Od czasu ostatnich wyborów do Rady Państwa toczy się w prasie zachowawczej ciekawa polemika o nieistniejące jeszcze stronnictwo narodowo-katolickie.

Myśl utworzenia tego stronnictwa propaguje gorąco hr. Rogier Łubieński, którego program społeczno-polityczny streszcza się w cytacie z O. Lacordaire:

„Ludzkość bez porządku i ładu społecznego ostać się nie może. Dlatego (!) na ziemi rzeczą najważniejszą jest religja katolicka.”

Jak widzimy, widnokrąg umysłowy hr. Łubieńskiego jest niezbyt szeroki. „Ziemia” wedle jego terminologji obejmuje bardzo niedużą cząstkę Europy, rozpatrywaną zresztą niezbyt krytycznie. Nieznane są panu hrabiemu kraje, w których „ład i porządek społeczny” opiera się bądź to na prawosławiu, bądź na protestantyzmie, a jakoby nie wiedział, że istnieją i takie, gdzie podwaliną tego ładu jest islam lub buddyzm. Ponieważ jednak jest rzeczą jasną, że proponowane przez niego stronnictwo katolicko-narodowe ani na Półwysep Bałkański, ani na Tybet wpływu swego rozciągać nie będzie, ponieważ nam jest dość obojętną kwestja, kto lepszy „ład i porządek” utrzymywał w obrębie swej władzy: Abdul Hamid, Alfons XIII, Dalaj Lama, czy cesarzowa Tse — Hsi, pozostawmy mu kłopot rozprawienia się z przedstawicielami konkurencyjnych teokracji i ograniczmy się do rozpatrywania jego projektu tylko w stosunku do tego skrawka ziemi, w którym stronnictwo narodowo-katolickie rozwijać się może, to jest 10-ciu gubernji Królestwa Polskiego. Tam ono ma utrzymywać ład i porządek, do czego, zdaniem hr. Łubieńskiego, niezdolne się okazują dotychczas istniejące partje polityczne.

W pierwszym rzędzie projekt jego godzi w stronnictwo realistów; stamtąd też odezwał się pierwszy głos protestu. Realiści otaczali katolicyzm opieką poważną, która w ich mniemaniu była całkiem wystarczającą. Dziwimy się też, że właśnie wybory do Rady Państwa, które im dały zwycięstwo, napędziły p. Ł. obaw, czy interesy katolicyzmu nie będą na szwank narażone. Realiści, wychodząc z założenia — że cały naród jest katolickim prócz jakiejś tam słabej garstki bezwyznaniowców, nie widzą racji tworzenia dla obrony katolicyzmu osobnego stronnictwa. Sądzimy nawet, że to zaszkodziłoby sprawie, gdyż, o ileby się ono okazało nieliczne — wywoływałoby to wrażenie, że i sam katolicyzm ma już tylko nielicznych między nami bojowników.

Hrabia Łubieński przeciwnie — wierzy niezachwianie, że hasła katolickie mają olbrzymią „siłę dynamiczną” i mogłyby pociągnąć te szerokie masy, do których realizm polityczny nie ma przystępu.

Realiści wogóle — to im przyznać trzeba, nigdy nie bawili się w demagogję (jak np. narodowa demokracja w swoim czasie). Byli garstką i zgodzili się nią pozostać raczej, niż zejść ze swego jasno określonego stanowiska, wyrażającego dość ściśle kierunek społeczno polityczny „of the upper ten thousand” t. j. klasy najwięcej posiadającej. Równie dalekim jest od nich wulgarny i krzykliwy ateizm, jak naiwna bigoterja. Szanują kościół — jak wszelkie inne czcigodne tradycje, jak stare pergaminy, stare zbroje i stare portrety.

Nie chcieliby się jednak ani mieszać z tłumem na odpustowych procesjach, ani też pozbywać ze swego grona wykształconych i wytwornych sceptyków, stanowiących filary ideowe ich partji.

Gdyby stronnictwo realistów nazwało się stron-

nictwem narodowo-katolickim, utraciłoby zdolne jednostki — nie pociągnęłoby szerokich mas.

Narodowa-demokracja już raz połamała zęby na próbach nierównego sojuszu z klerykalizmem. Poza oportunizm wyjść nie mogła, pod komendę kleru iść nie chciała — i to jej dziś jeszcze p. Łubieński gorzko wyrzuca.

Polem werbunku dla nowej partji mogłyby być zorganizowane zastępy demokracji chrześcijańskiej i Związku katolickiego — gdyby między nimi można doprowadzić do zawieszenia broni, którą dziś współzawodnictwo w nadkatolickiej prawowierności zaostrza.

Trudno zaprzeczyć *Słowu* niejakiej słuszności, gdy mówi, że utworzenie się stronnictwa katolickiego do pewnego stopnia obalałoby twierdzenie, jakoby cały naród był katolickim. Właściwa jednak kwestja sporna polega na pytaniu, czy można, lub należy z katolicyzmu uczynić program polityczny, czy nie; czy religja ma określać stosunek człowieka do bóstwa i kierunek jego życia wewnętrznego, czy też wyznaczać mu jego kierunek działania w sprawach doczesnych natury gospodarczej, społecznej, prawno-politycznej.

W tym rozróżnieniu tkwi właśnie granica między katolicyzmem (jak i każdą inną religją) a klerykalizmem wszelkich wiar i wyznań. Dla katolicyzmu i dla każdej religji jako takiej, jako jedyny zasadniczy postulat prawno-polityczny wystarcza nieograniczona niczym wolność sumienia i na tym punkcie każda szczera wiara z każdą niewiarą mogłyby być jednomyślne.

Dowodem, że taki układ stosunków jest możliwy — są takie państwa jak Stany Zjednoczone, gdzie pod osłoną zupełnej tolerancji religijnej żyją i kwitną, nie krępując się wzajemnie, różne wyznania i różne sekty obok bezwyznaniowców i agnostyków, a nawet odbywają się wspólne kongresy religijne, dopuszczające do głosu wyznawców wszelkich przekonań.

Z chwilą jednak, gdy z religji czyni się program polityczny — ta rajska harmonja znika. Zaczyna się walka o władzę różnych hierarchji wyznaniowych, zmierzających wprost do teokracji.

Dążenie do teokracji odziedziczyły po Starym zakonie niektóre wyznania chrześcijańskie, jakkolwiek w obrębie Kościoła zawsze zrywała się opozycja, zmierzająca do wyodrębnienia spraw wiary i życia wewnętrznego od nacisku całkiem doczesnych interesów i dążeń polityki kościelnej.

Nie potrzeba być prorokiem, aby przepowiedzieć, że cele i zadania stronnictwa katolickiego służyłyby wyłącznie tej ostatniej i że bynajmniej nie zmierzałyby do spokoju religijnego, do wyzwolenia dusz i sumień.

Wolno także już dziś snuć wnioski, w jakim kierunku wysunięto by pierwsze baterje tej armji. Charakteryzując nasze stronnictwa polityczne jako całkiem niezadowalające z puntu widzenia O. Lacordaire'a, pisze p. Łubieński o postępowcach:

„Już i mówić nie trzeba o naszych partjach niby to postępowych, które albo wprost zaprzeczają istnieniu Bóstwa i drwią sobie z dogmatów naszej wiary, albo gwałtem (!) wywodzą człowieka od małpy."

Naiwność pana hrabiego raczy przypisywać teorję pochodzenia człowieka i pochodzenia gatunków jakiemuś głosowaniu powszechnemu bezwyznaniowców, którzy przez uchwałę większości narzucili uczonemu światu hipotezę naukową Pismu Św. przeciwną. Stojąc na poziomie umysłowym pierwszej lepszej częstochowskiej dewotki, nie rozumie on, że żadne stronnictwo polityczne nie może stawiać na porządku dziennym swych dyskusji ani kwestji istnienia Boga, ani obrotu ciał niebieskich — tak, jak nie dyskutuje i nie głosuje nad odkryciem bieguna północnego przez Peary'ego czy Cook'a.

Stronnictwo postępowe uznaje, że wszystkie te sprawy w zakres jego kompetencji wcale nie wchodzą, a jedyny punkt styczny między nimi a jego programem

---

7)

Sibilla Aleramo.

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

(Ciąg dalszy).

VI.

Wiele dni leżałam bez ruchu, powtarzając szeptem: *mama*. Zapytywałam siebie, czy kochałabym tę istotę swej krwi, tego syna, któremu nie zdołałam dać życia i którego nie mogłam opłakiwać.

Jednocześnie czułam dręczący mnie wyrzut, coś co wyczerpywało mnie i odbierało raz jeszcze miłość dla siebie samej i chęć do życia. Myślałam o matce, o przeszłości, o potoku bezlitosnych słów, które w tę straszną noc w twarz jej rzuciłam.

Czym była matka dla mnie?

Czyż ją kochałam? Nie śmiałam odpowiedzieć sobie na to pytanie, a jednocześnie tonęłam w żalu nad zabłysłą mi na chwilę i nagle zgasłą nadzieją macierzyństwa. Czułam, że raz tylko przyczyniłam się do szczęścia matki, a to w chwili, kiedy po raz pierwszy pojawiłam się między zakochanym małżeństwem. Ona, jako główny czynnik, nie istniała nigdy w mych jasnych wspomnieniach, lecz czyż usprawiedliwiało to mą obojętność względem jej chorej duszy?

Teraz jasno stawała przede mną cała moja przeszłość.

Ośmnaście lat matka moja żyła pod dachem małżeńskim. Jako żona: jej drobne radości zamieniły się w nieskończone cierpienia; jako matka: nie doznała nigdy wdzięczności od swych dzieci.

Serce jej nie zdołało się nigdy wypowiedzieć. Przeszła przez życie niezrozumiana: rodzina uważała ją za romantyczną, przesadną, nieudolną — choć była najinteligientniejszą i najpoważniejszą z całego rodzeństwa. Zerwała bez żalu prawie z całą rodziną, niemiłą mężowi. Wierząca, ale z jakimś bojaźliwym mistycyzmem i bez chęci poddawania się praktykom religijnym, nigdzie nie znalazła ukojenia. Pomimo żywej, bujnej wyobraźni i dobrego smaku nie zajęła się żadną dziedziną sztuki i żaden objaw gienjuszu nie pociągnął jej, ani nie oderwał

to żądanie zupełnej wolności badań naukowych, tak samo jak wszelkich przekonań religijnych,—wreszcie, że w rzeczach nauki żaden „gwałt" nic nie pomoże, ani niczemu przeszkodzić nie jest w stanie.

Może więc p. hrabia być spokojny; gdyby nawet postępowcy przewagę zdobyli — wcaleby w to nie wglądali od kogo on pochodzi, bacznie śledziliby tylko do czego dojść zamierza wraz ze swym stronnictwem, obawiając się z tamtej strony stosowania gwałtu w tych dziedzinach życia, które tylko przy zupełnej wolności pomyślnie rozwijać się mogą.

Odgłosy.

Tragiczny zgon Ferrera na stokach cytadeli Montjuich rozpętał w oka mgnieniu olbrzymi orkan gniewu, klątw i oburzenia, który z nieomylną trafnością żywiołu zwraca się przeciw mrocznej potędze Watykanu. I aby właściwie cały ten historyczny odtąd fakt ocenić, trzeba koniecznie stosowny kłaść nacisk na wpływ decydujący, jakim kler rozporządza w Hiszpanji i sposób, w jaki z tego wpływu korzysta. Niedarmo król hiszpański piastuje tytuł „arcykatolickiego monarchy"; niedarmo mury potężnych i bogatych klasztorów górują nad Barceloną wespół z ponurą fortecą Montjuich. Hiszpanja jest obecnie jedynym na świecie państwem, gdzie kościół katolicki rozporządza bez przeszkód oświatą, sądownictwem, armją i władzą. I jest ona też jedynym krajem, który chyli się do upadku na wszelkich polach, począwszy od czysto fizycznej potęgi zbrojnej, kończąc na nauce, przemyśle i handlu. Powinno to dać nieco do myślenia tym naszym mężom politycznym, którzy, nie chcąc byśmy zostali „Francuzami Północy", świadomie czy nieświadomie czynią nasz kraj „Hiszpanją Północy".

Kler katolicki posiał w Hiszpanji burzę — teraz oto zbiera obfite żniwo po całym kulturalnym świecie. Od czasu sprawy Dreyfusa nie słyszano tak powszechnego i tak grzmiącego protestu, w którym łączą się zgodnie głosy wszystkich kulturalnych, wszystkich *przyzwoitych* organów opinji — od zachowawczego *Timesa* do radykalnej *Westminster Gazette*, od ostrożnego *Temps'a* do wolnomyślnej *Action*, od monarchicznego *Giornale d'Italia* do skrajnego *Avanti*. Oświecone i kulturalne mieszczaństwo Europy, które wszak nie może być posądzone o współczucie dla filozofa anarchji — zgodnie i szczerze piętnuje haniebną procedurę Inkwizycji, wskrzeszonej oto w zaraniu XX-go wieku pod wytrawnym przewodem Jezuitów. Ucichły klasowe i stronnicze dysonanse: w obliczu dźwigającego się ponad Pireneje upiornego widma Inkwizycji rządowo-kościelnej — wszystkie narody oświecone, wszystkie żywioły Postępu utworzyły blok solidarny i niezłomny... Następstwa tego wspaniałego odruchu będą dla Kurji Rzymskiej bardzo niemiłe. Nigdy jeszcze Watykan nie poczynił tylu błędów w tak krótkich odstępach czasu, jak to ma miejsce od 1903-go roku, kiedy na stolicy Apostolskiej, przy pomocy Austrji i Prus, zasiadł kard. Sarto, mając u boku mściwego obskuranta, kard. Merry del Val, a nad sobą — areopag „dzieci Lojoli". Wiadoma Encyklika, która wyłuszcza poglądy tego bractwa, odstrychnęła od Kościoła rzeszę szczerych, ideowych, gorliwych — ostatnich bodaj jego rzeczników — t. zw. *Modernistów*. Kard. Puzyna naśladował u nas *de son mieux* kurs polityki watykańskiej — i osiągnął taki sam skutek. Arcybiskup Chościak-Popiel ostatnią „Bullą Szkolną" nie przysporzył sobie popularności.

Odwieczne wzgórze Watykanu jest dziś bardziej niż kiedykolwiek wyspą jałową, pustynną i mroczną wśród rozlewnego Życia, grzmiącego zwycięskim poszumem.

Biada narodom, które — naskutek warunków ujemnych, powodowane inercją zastoju — wiążą swe losy z potęgą przeżytą, zgangrenowaną i — zachwianą nieodwołalnie.

L. G.

Ludność żydowska w Królestwie, Litwie i Rusi.

Kwestja żydowska jest bezwątpienia jedną z najważniejszych w naszym społeczeństwie. Jest to kwestja nader drażliwa i nie godzi się traktować ją po

---

choćby na chwilę od niej samej. Ani przyjaciółki, ani doradcy nie spotkała na swej drodze. A do tego słaba i organizm trawiony długimi cierpieniami...

Biedna, biedna dusza! Piękność, dobroć, inteligiencja na nic się nie przydały. Życie zażądało siły: nie miała jej.

Kochać i poświęcać się! Oto jej przeznaczenie... a może przeznaczenie wszystkich kobiet?...

Miesiąc prawie upłynął od czasu mej choroby. Raz tylko widziałam chorą, w dniu w którym była spokojną i rozmawiała prawie rozsądnie; zadrżałam, słysząc jej słowa: „Ach, gdybyś miała dziecko! Czemu nie miałaś dziecka!" Pragnęła wnuka, pragnęła wskrzeszenia uczucia macierzyństwa!

Doktór zabronił mi przyjmowania dalszych wizyt. Każdego popołudnia tylko wpadali na chwilę brat i młodsza siostra, z twarzyczką posmutniałą i zgasłymi oczami. Mama nie poznawała już nawet głosów swych dzieci; popełniała szaleństwa, lub rzucała groźby. Opieka pielęgniarki już nie wystarczała. Dziecko wybuchało płaczem w mych ramionach; chłopiec żalił się, że nie jest starszym, by móc nieszczęśliwą wywieźć daleko od człowieka, który nie miał dla niej litości.

Ojciec zjawiał się posępny, nieprzenikniony, milczący. Wszyscy doświadczaliśmy przy nim obezwładniającej i poniżającej obawy.

W końcu doktorzy uznali za konieczne poddanie chorej stałemu leczeniu w domu zdrowia. Nie można było pozostawić dłużej chorej obok przerażonych dzieci.

Wyjazd nieszczęśliwej do poblizkiego miasta był dla nich wyzwoleniem po tylu miesiącach niepokoju. Słodka, cierpiąca postać, która w dzieciństwie pochylała się nad ich łóżeczkami, zamieniła się w widmo, które ani ich nie kocha, ani przez nich nie może już być kochanym.

Oby jak najprędzej wróciła—aby zatrzeć wspomnienie tego snu okropnego!

Czyż nigdy nie będę mogła prosić jej o przebaczenie, wypowiedzieć jej swych strasznych cierpień na wspomnienie o nieludzkim z nią postępku, powiedzieć jej wreszcie, jak ją zrozumiałam.

Nie, nigdy już głos mój nie odbije się w jej sercu, nigdy już nie będę z nią mówiła; czułam to, wszystko skończyło się. Po niej, po tym, czym była, pozostało tylko wspomnienie, jak ponura przestroga.

Mijały dni i tygodnie.

Zwolna ustępowało moje wyczerpanie fizyczne, ale energja duchowa, zdawało się, zgasła zupełnie.

dyletancku ze względu na mogące stąd wyniknąć ujemne skutki dla sprawy narodowej.

Pierwszym warunkiem poważnego roztrząsania jej jest zbadanie i rozpatrzenie faktycznego stanu rzeczy, statystycznych danych, dotyczących liczby, rozmieszczenia i warunków życia ludności żydowskiej u nas i w Cesarstwie.

W pierwszym rzędzie nastręcza się pytanie, ilu Żydów mieszka pośród nas i jaki oni stanowią odsetek.

Zanim odpowiemy na nie musimy określić dokładnie — kogo mamy nazywać Żydem, gdyż w naszych pojęciach wyrazy: wyznawca religji mojżeszowej i żyd—są nader często utożsamiane. Tymczasem są to pojęcia odmienne, choć z punktu widzenia prawa i państwa nader zbliżone.

Za Żydów będę uważał tych wyznawców religji mojżeszowej i innych religji, którzy podczas spisu jednodniowego w r. 1897 stwierdzili swą przynależność do narodu żydowskiego, podając za język macierzysty żargon.

Spis jednodniowy wykazał nieznaczny procent wyznawców religji mojżeszowej, którzy, zaliczywszy się do jakiejś innej narodowości, zaakcentowali swe asymilacyjne dążenia. Na 5215805 wyznawców religji mojżeszowej, zamieszkujących w Państwie Rosyjskim, było ich 217,578. Żydów wyznawców religji mojżeszowej w r. 1897 było 4,998,227 ludzi — liczba w ogóle Żydów jest trochę większą, a mianowicie 5063156 — gdyż wśród wyznawców innych religji spotykamy jednostki, które określiły swą narodowość jako żydowską.

Żydzi w stosunku do ogólnej ludności państwa rosyjskiego wynoszą 4,16 proc. W zwartej jednak masie zamieszkują w tak zwanej „Strefie osiedlenia" („Czertie osiedłosti jewrejskoj"), obejmującej 25 gubernji, a mianowicie 10 gub. Królestwa, 6 gubernji litewsko-białoruskich — 5 gubernji małorosyjskich (Wołyń, Podole, Ukraina, Czernihowska, Połtawska) i 4 gubernje południowe (Besarabja, Krym, Chersońszczyzna i Jekaterynosławska) stanowiąc 11,46 proc. w stosunku do ogólnej ludności tych krajów; po za strefą osiedlenia Żydzi mieszkają rozproszeni po całym państwie, nigdzie nie przekraczając 1 proc. ogólnej ludności (z wyjątkiem Kurlandji — 5,6 proc. i Liflandji 1,8 proc.).

Skutkiem ograniczeń Żydów w wyborze miejsca zamieszkania 93,93 proc. ludności żydowskiej mieszka w „Strefie osiedlenia" i tylko 6,07 proc. po ogromnych obszarach Rosji Europejskiej i Azjatyckiej.

Takie skupienie mas żydowskich w ściśle określonych granicach wpływa ujemnie na rozwój idei asymilacyjnych i podtrzymuje ducha odrębności narodowej.

Wobec tego, że nas najbardziej obchodzą te gubernje, gdzie żywioł żydowski styka się z ludnością polską — ograniczę więc badania nad ludnością żydowską do 10 gubernji Królestwa Polskiego, 6 litewsko-białoruskich i 3 rusińskich (Podole, Wołyń, Ukraina).

Poniższe tablice wskażą nam stosunek liczbowy i procentowy ludności żydowskiej w wyż. wspomnianych gubernjach.

I. KRÓLESTWO POLSKIE.

Gubernje	Ogólna liczba mieszkańców w roku 1897	Żydzi w r. 1897	Odsetek ludności żydow. w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców	Odsetek miejskiej ludności żydowskiej w stosunku do mieszkańców miast
Warszawska	1,931,867	317,169	16,42	29,9
Siedlecka	772,386	122,370	15,86	53,8
Łomżyńska	579,300	90,912	15,67	46,9
Piotrkowska	1,404,301	222,299	15,53	30,5
Radomska	815,062	113,277	13,89	50,5
Lubelska	1,159,273	153,728	13,26	45,3
Kielecka	761,689	82,427	10,82	51.
Suwalska	582,696	58,808	10,09	40,
Płocka	553,094	50,473	9,73	34,5
Kaliska	842,398	72,339	8,5	31,8
Ogółem	9,401,097	1,316,576	14,01	34,9

Nie miałam żalu do nikogo. Wyobrażałam sobie, że pod wpływem całego szeregu tragicznych wypadków, które zwaliły się na moje istnienie, zdobyłam zupełną znajomość życia: stało się ono dla mnie dziwnym więzieniem... Wszystko było daremnym: radość i cierpienie, bunt i walka; jedyna szlachetność — to rezygnacja.

Nie starałam się nawet zająć swym rodzeństwem, by zmniejszyć jego niedolę i tym sposobem wytknąć jakiś cel swemu życiu. Młoda nauczycielka, elegancka i zalotna, przybyła zaraz po odjeździe matki; — starała się zdobyć całe przywiązanie dzieci. Niechętnie widziałam ją na tym delikatnym stanowisku i myślałam, że będę musiała walczyć, by nie wywarła zbyt wielkiego wpływu na dziewczynki. Pomimo to, pozwalałam im oddalać się coraz bardziej od siebie. Ojciec jeszcze mniej poszukiwał mego towarzystwa. Nikt nie wymawiał przy nim imienia nieobecnej.

Mąż mój, niezdolny do obserwacji, zadowolony był z mego pozornego spokoju, z widocznej zmiany mego charakteru, coraz to bardziej uległego. Ubierał swój egoizm w pozory serdecznej troskliwości. Objawiała się ona jedynie w wyrazach, ale przynajmniej tamowała wybuchy złego humoru i wszelkie szczere wyjaśnienia. Wyglądało tak, jakbyśmy się obawiali dotykać rzeczywistości, a milcząca umowa podtrzymywała nasz przyjazny i pobłażliwy stosunek. W rzeczywistości tak nie było: on wierzył, że miłość moja trwa ciągle a ja ze swej znowu strony sądzę, że on mnie rzeczywiście kochał nieco, jak swoją rzecz, swą własność, że miłość uważał za swój obowiązek. Pochlebiała jego miłości własnej moja rozkwitająca uroda, moja inteligiencja, spokój i poddanie się wybrykom jego zazdrości, która mnie nie obrażała, a śmieszyła tylko.

Niezadowolenie jego wzbudzał jedynie coraz większy opór mych zmysłów przeciw wszelkiej deprawacji. Bardziej nieświadomy niż brutalny, nie umiał sobie tego wytłumaczyć i cierpiał, gdy ja broniłam się, tłumacząc niedomaganiem fizycznym.

I dni, i tygodnie mijały. Mimo tu i owdzie przebijających się wspomnień, okres ten mego życia pozostaje dla mnie najmniej jasnym. Coś wszakże, czego dokładnie wyjaśnić nie umiem, broniło mnie przeciw rozgoryczeniu i utracie odwagi, zmusiło do dalszego automatycznego życia i poniekąd czyniło dumną, iż tak milcząco poddałam się przeznaczeniu. Wspomnienie dzieciństwa było jakby oazą, do której się chroniłam. Lecz nagle ukazywał mi się obraz mej nieszczęśliwej matki, którą widziałam w tragicznym przytułku, w kilka tygodni po jej wyjeździe z domu. I wstrząsał mną nagły dreszcz, prawie wrażenie czło-

II. LITWA i BIAŁORUŚ.

Gubernje	Ogólna liczba mieszkańców w roku 1897	Żydzi w r. 1897	Odsetek ludności żydow. w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców	Odsetek miejskiej ludności żydowskiej w stosunku do mieszkańców miast
Grodzieńska	1,612,681	276,814	17,4	57,7
Mińska	2,147,911	331,657	16,	58,8
Żmudź (Kowieńska)	1,548,410	212,230	13,7	43,1
Wileńska	159,207	205,261	12,7	43,2
Mohilewska	1,688,573	201,301	11,92	52,5
Witebska	1,489,246	175,678	11,8	50,
Ogółem	10,068,028	141,001	14,	

III. UKRAINA

Gubernje	Ogólna liczba mieszkańców w roku 1897	Żydzi w r. 1897	Odsetek ludności żydow. w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców	Odsetek miejskiej ludności żydowskiej w stosunku do mieszkańców miast
Podole	3,018,551	366,597	12,15	41,5
Wołyń	2,987,970	397,772	13,31	50,8
Właściwa Ukraina (Kijowska)	3,559,481	427,863	12,03	30,8
Ogółem	9,566,002	1,192,232	12,43	

Obserwujemy tu ciekawe zjawisko, a mianowicie że procent ludności żydowskiej w gubernjach litewsko-białoruskich stale się zniża, — odwrotnie w Królestwie Polskim odsetek ten, choć nieznacznie, rośnie. Uwidoczni to najlepiej następująca tablica.

Gubernje	Procent ludn. żydowskiej 1884	Procent ludn. żydowskiej 1897	Zmniejszenie się o
Grodzieńska	19,7	17,4	2,3
Mińska	20,1	16,	4,1
Żmudź (Kowieńska)	19,	13,7	5,3
Wileńska	14,8	12,7	2,1
Mohilewska	18,1	11,92	6,18
Witebska	12,9	11,8	1,1

Gdy tymczasem w Królestwie Polskim podług Leo Wengierowa:
(„Die Juden im Königreich Polen")

W latach	Procent ludności żydowskiej wynosi
1850 —1860	11
1870	13,4
1882	14,09
1893	13,9
1897	14,01
1907	14,4 [1]

Wyjątek stanowi gub. Suwalska, w której odsetek żydów stale się zmienia na ich niekorzyść. Tak, gdy w r. 1893 liczono Żydów w tej gubernji 81,384 (to jest 13,4 proc.), w r. 1897 tylko 58808 (10,9 proc.) to jest procent żydów dla tej gubernji zmniejszył się o 2,5.

(c. d. n.) *Piotr Zubowicz.*

[1]) Podług Edwarda Czyńskiego.

---

wieka zbłąkanego na lodowcu, kiedy czuje drganie sznura łączącego go z towarzyszem, który przed chwilą stoczył się w przepaść. I olbrzymi budynek, z którego dochodziły pomieszane wybuchy śmiechu i łkania, jak echa hałaśliwego, burzliwego tłumu, oddzielonego od reszty świata; i szerokie korytarze, po których snuły się dozorczynie z pękami kluczy u pasa, podczas gdy przy drzwiach ukazywały się i znikały postacie o wielkich obłąkanych oczach i uśmiechniętych ustach; widma tajemniczego życia, i w końcu biały pokój, w którym matka moja, uczepiwszy się krat u okna, powtarzała imię, widnego w dali, zalanego słońcem, miasta, wołała je ku sobie, jak dziecko, które wzywa do siebie jeziora i lasy.

Wyszłam z tej otchłani cierpień z wewnętrznym drżeniem, nie zdolna ani płakać, ani mówić, z uczuciem wyczerpującego bólu fizycznego, czegoś niewyraźnego, nieokreślonego, jakby silnego pragnienia ucieczki; uciec od życia, uciec z drogi prowadzącej do wrót szaleństwa!

Rok, rok owinięty szarym, posępnym mrokiem.. Potym... Potym drganie we mnie nowego życia, i oczekiwanie czegoś niewiadomego... Z początku ogarnął mnie przestrach, wątpliwość: jakie też wewnętrzne dziedzictwo obejmie moje dziecko po swym ojcu i po mnie... A i inne obawy, mniej może głębokie, lecz mimo to poważne — o naszą przyszłość materjalną, o moją zdolność do macierzyństwa...

Ostatnia wątpliwość rozwiała się szybko. Zdobyłam się na odwagę spojrzenia w przyszłość i przyjęcia jej tym śmielej, im większym był mój głęboki smutek. Zwolna spostrzegłam budzący się we mnie instynkt macierzyństwa; czułam, że będę zdolną do poświęceń dla tej drobnej istotki, formującej się tajemniczo; że kochać ją będę, że obdarzę ją całą swą miłością, jakiej nie dałam jeszcze nikomu. W duszy mej rozkwitła cicha i poważna radość, zroszona pierwszymi w mym życiu słodkimi łzami. Znalazłam w końcu cel istnienia, obowiązek. Dziecko moje nietylko miało urodzić się i żyć, lecz miało być najzdrowszym, naj-

Zjazd neurologów, psychjatrów i psychologów polskich.

Zdawałoby się, że pierwszy zjazd naukowy, w sercu Polski urządzony a odbyty w dniach 11, 12 i 13 października, zdradzać będzie brak doświadczenia u nas w urządzaniu kongresów. Tymczasem zarówno strona techniczna — sama organizacja Zjazdu, jak i zbiór przedstawionych prac wypadły okazale. Nasz dorobek kulturalny pod tym również względem śmiało postawić można na poziomie ogólnego dorobku europejskiego. Co jest objawem rzadko na zjazdach naukowych spotykanym, zauważyliśmy, że na zjazd naukowy polski na wszystkie zgłoszone uprzednio tematy przedstawione zostały odpowiednie prace. Żadnego zgłoszonego na zjazd referatu nie brakowało. Nie wszystkie prace zostały jednak wypowiedziane, z powodu bądź nieobecności autorów, bądź ograniczonego czasu trwania Zjazdu.

A oto kilka liczb, dotyczących prac Zjazdu. Zgłoszono: referatów treści ogólnej do wszystkich sekcji (neurologicznej, psychjatrycznej, psychologicznej) — 9, odczytów — do dwu sekcji psychjatrycznej i neurologicznej — 32, do psychologicznej — 18.

Program prac Zjazdu był szeroko i celowo pomyślany. Poruszano mianowicie doniosłe sprawy natury ogólnej, jak metoda psychologji, popędy chorobowe, sprawa terminologji polskiej. W poszczególnych sekcjach omawiano tak ważne zagadnienia, jak sprawa nowotworów układu nerwowego, padaczki i spraw jej pokrewnych, rozpoznania psychozy manjakalno-depresyjnej i otępienia wczesnego, klasyfikacji idjotyzmu, stanów podświadomych, badania inteligiencji, sprawy psychjatryczno-kryminalistyczne oraz cały szereg innych. Żałować jedynie należy, że pominięta została kwestja tak doniosła i wprost dzisiaj „modna", jak psychologja wypowiedzi.

Komitet organizacyjny Zjazdu stanowili p. p.: W. Gajkiewicz (prezes), E. Flatau (wiceprezes), W. Weryho (wiceprezes), T. Łapiński i W. Sterling (sekretarze), A. Ciągliński (skarbnik), L. Bregman, L. Dydyński, S. Goldflam, J. Koelichen, S. Kopczyński, W. Męczkowski, H. Nusbaum, A. Szycówna, A. Wizel, R. Radziwiłłowicz, I. Segał, E. Korniłowicz. W czasie Zjazdu komitet organizacyjny przelał swe funkcje na komitet prezydjalny, przy którym stali profesorowie Babiński (prezes), Cybulski, Heinrich, Twardowski, Halban i Piltz oraz d-rzy Mikulski i Hornowski.

Wstępem do prac Zjazdu był słusznie na początku wygłoszony odczyt prof. K. Twardowskiego „o metodzie psychologji"; psychologja ma prawo do bytu, jako dyscyplina specjalna, ile że ma swój własny przedmiot badania; zajmuje psychologja wybitne stanowisko w szeregu innych nauk: co do metody badania, operuje doświadczeniem, jest więc dyscypliną eksperymentalną, następnie badanie psychologiczne posiada charakter dokumentarny—obserwacja w czasie przebiegu zjawiska jest tutaj niemożliwa, możliwe jest tylko badanie ex post, dlatego też psychologja jest również nauką historyczną, właściwie quasi-historyczną; badanie więc psychologiczne sprowadza się do eksperymentalnej introspekcji oraz do dokumentowania szczegółów zjawiska psychicznego — oto metoda psychologiczna.

Rozszerzać się na tym miejscu nad poszczególnymi pracami Zjazdu nie będziemy. Przedstawimy niejako konkluzję Zjazdu — uchwały, powzięte przez jego poszczególne sekcje, a następnie i przez gremium ogólnego zgromadzenia. Sekcja psychjatryczna przyjęła szereg następujących wniosków:

1) o utworzeniu polskiego towarzystwa neuropsychologicznego;

2) o zniesieniu zakładów poprawczych dla nieletnich, a natomiast o utworzeniu zakładów o charakterze leczniczo-pedagogicznym (wniosek d-ra H. Higiera i d-ra St. Orłowskiego);

3) o utworzeniu specjalnych zakładów leczniczych dla epileptyków;

4) o utworzeniu domów opieki nad wałęsającymi się obłąkańcami (wniosek adw. H. A. Konna, przedłożony w związku z odczytem tegoż „w sprawie włóczęgostwa — degeneracji");

5) o postawieniu na przyszłym zjeździe jako tematu „Poglądy Freuda na histerję i jego metoda psychoanalityczna (wniosek dr-ów Jekelsa, Bornsteina i innych);

6) o połączeniu na przyszłym Zjeździe sekcji psychjatrycznej i neurologicznej.

Sekcja neurologiczna uchwaliła wnioski:

1) o nietrzymaniu na wspólnych salach chorych nerwowych wraz z wewnętrznymi i 2) o poczynieniu

---

piękniejszym, najlepszym, największym, najszczęśliwszym. Dam mu całą swą krew, całą swą młodość, wszystkie swe marzenia: dla niego kształcić się będę— stanę się lepszą.

Mąż mój, pozbywszy się złego humoru, zainteresował się troskliwie mym stanem. Był dobrym, widziałam budzącą się w nim miłość ojcowską; chociaż była to miłość jedynie instynktowna, nieświadoma odpowiedzialności, spadającej na nas oboje.

Matka jego, dla której nasz ślub cywilny był jakby zmorą, przedewszystkim zaklęła mnie, by zrobić z dziecka „chrześcijanina"; przyrzekłam jej to, przypominając sobie, że to samo ustępstwo dla mej matki zrobił mój ojciec.

Lecz oświadczyłam, że nie zniosę wtrącania się ani jej, ani jej córki, do wychowania mego dziecka, że nie będę stosowała żadnych barbarzyńskich praktyk tej miejscowości, i nie będę zaraz od kołyski obwieszała go amuletami, opaskami, ani żadnymi innymi rzeczami, mającymi niby to chronić dziecko od niebezpieczeństw. Na co teściowa odpowiadała pewnym tonem, który nie zgadzał się z jej zwykłą nieśmiałością: „Dziesięcioro dzieci miałam i wykarmiłam!"

Z jej dziesięciorga dzieci sześcioro zmarło w dzieciństwie, a pozostałe śmiało mogły uważać się za szczęśliwe. Nauczała mnie, że dzieci muszą przebyć pięć lub sześć chorób, podczas których sam Pan Bóg niektóre maleństwa zabiera do siebie, by uczynić z nich aniołów!

Biedna staruszka! Pomagała mi krajać i szyć koszulki i kaftaniki; doświadczała przy tej pracy, w ciszy naszego saloniku, słodkiego zadowolenia, którego być może czuła się niegodną; jak wszyscy ci, którzy cierpiąc przez całe swe życie, doszli do wniosku, że nie dla szczęścia są stworzeni.

I nieszczęście raz jeszcze szło na jej spotkanie.

Jednocześnie położyli się do łóżka mąż mój i teść; jednego powalił zastarzały reumatyzm, drugiego silna angina. Choć stan starca nie wydawał się groźnym, żona i córka czuwały u jego wezgłowia; ja pozostałam sama przy mężu, którego choroba zaostrzała się gwałtownie. Pewnej nocy zdało mi się, że brak mu tchu; przybyły lekarz uczynił ruch zwątpienia. Choroba zdradzała wszystkie cechy dyfterytu; doktór nie ukrywał tego przedemną pomimo mego stanu, ale ja zachowałam spokój, w obawie zaszkodzenia istocie, drgającej w mym łonie. Z sercem pełnym wiary, utrzymywałam chorego w nieświadomości rzeczywistego jego stanu. Pielęgnowałam go bez chwili wytchnienia, wierząc, że obowiązek w ten sposób wykonany, nie może mieć szkodliwych dla mego dziecka skutków.

Po kilku dniach nastąpiło przesilenie i wtedy

kroków celem utworzenia zakładu wychowawczo-leczniczego dla epileptyków.

Jako temat do referatów na przyszły Zjazd postawiono: „O znaczeniu gruczołów w patogenezie cierpień nerwowych” i „Patogeneza i leczenie migreny”.

Uchwały sekcji psychologicznej są następujące:

1) Sekcja wypowiada życzenie, aby zainaugurowano badania nad wpływem pracy ręcznej na umysłowość pracujących. Instrukcje i kwestjonarjusze odpowiednie mają być opracowane przez komisję, złożoną z pp. Błażka i Bandrowskiego, pań Stefanowskiej i Szycówny i rozesłane do osób mogących przyczynić się do zebrania odpowiedniego materjału.

2) Sekcja uważa za pożądane utworzenie pracowni psychologicznej w Warszawie.

3) Sekcja uważa za pożądane zbieranie materjałów do badań nad dziećmi i dorosłymi i odwołanie się w tym celu do odpowiednich instytucji.

4) Sekcja poleca podjąć usiłowania, aby powstały u nas zakłady wychowawcze dla dzieci umysłowo upośledzonych, i aby przybrały one charakter, odpowiadający wymaganiom naukowym. Starania te przekazano komisji złożonej z pani Zylberowej, pp. Kiewlicza i Dawida.

Obok tego wypowiedziano szereg życzeń o charakterze technicznym, które przekazano komitetowi stałemu zjazdów. Dotyczą one:

1) Udziału warszawskiego towarzystwa psychologicznego w kongresach międzynarodowch.

2) Wygotowania na przyszły Zjazd referatu o opiece nad umysłowo chorymi u nas i gdzieindziej.

3) Sprawy, aby na przyszłym Zjeździe więcej było posiedzeń ogólnych i aby nacisk był położony na dyskusję.

Uczestnicy Zjazdu podziwiali też ciekawe pokazy mikro- i makroskopowe.

Oto wytyczne szczegóły Zjazdu, który, ogólnie rzecz biorąc, miał przebieg świetny. Liczba uczestników dosięgła 280.

Odbyty Zjazd naukowy jest ciekawym dokumentem chwili ostatniej, świadczącym wymownie o żywotności myśli i ducha polskiego.

h. a. k.

NA DOBIE.

Polacy na kongresach międzynarodowych.

Gdy w przeszłym roku do Berlina zwołano międzynarodowy kongres prasy, Polacy manifestacyjnie usunęli się od uczestnictwa, a wraz z nimi — i wszyscy dziennikarze słowiańscy, solidaryzując się z ich uprawnionym protestem przeciw zasiadaniu w bratnim kole wraz z apostołami hakaty.

Tegoroczny kongres lekarzy w Budapeszcie wywołał zupełnie analogiczną manifestację solidarności ludów słowiańskich. Jak rok temu dziennikarze nie chcieli zaszczycić swą wizytą ojczyzny Bismarcka i Ostmarkenvereinu, tak teraz lekarze słowiańscy nie przyjęli gościnności tych, którzy się splamili uciskiem słowackiego ludu.

Były to nietylko akty godności narodowej, lecz samoobrony. Nie należy sią pchać tam, gdzie zgóry przewidywać można, że się dozna krzywdy lub obrazy. Nie nadstawia się policzka tam, gdzie wojują kułakiem, a pod tym względem Madziarzy nie lepsi od Prusaków.

Polscy lekarze — widocznie hołdując raczej hasłom „egoizmu narodowego” — niż braterstwa uciśnionych, wyłamali stę z tak pięknie zapoczątkowanej solidarności, pojechali i spotkało ich to, co spotkać musiało. Nietylko odmówiono im równouprawnienia z przedstawicielami innych narodów, lecz wprost obrażono ich i sprowokowano wnioskiem o stałym wykluczeniu raz na zawsze reprezentacji polskich z kongresów międzynarodowych. Co więcej, wniosek ten wyszedł z inicjatywy węgierskich bratanków, którzy dopiero tak niedawno odzyskali własny ustrój państwowy.

Hołdowanie tej nizkiej etyce, która nakazuje uważać za złe tylko to, gdy nas biją, a za dobre — gdy biją drugich, zawsze do upokorzeń i kompromitacji doprowadzić musi.

Obecnie — lekarze polscy w Galicji — mądrzy po szkodzie, zaczynają radzić nad poczynieniem odpowiednich kroków, mających zapewnić raz na zawsze równouprawnienie delegacji polskich na wszystkich naukowych zjazdach.

dopiero chory dowiedział się o niebezpieczeństwie, którego uniknął. Stan zdrowia jego ojca pogarszał się natomiast gwałtownie i w dwa tygodnie później umarł.

Po raz pierwszy śmierć przeszła koło mnie, zabierając mi istotę blizką, lecz nie raniąc głęboko mej duszy. Być może dlatego, że siły me były na wyczerpaniu, skierowane ku decydującemu zdarzeniu mego życia.

Poznałam całą retorykę żałoby. Mąż mój i jego siostra, którzy od lat dziecinnych nigdy nie uśmiechnęli się do swego ojca, którzy uważali go jedynie za posiadacza wspólnych pieniędzy, okazywali straszną rozpacz. Przy tej sposobności przypomniałam sobie pewne spostrzeżenia ojca. W mieście ponad wszystkim, czy to wśród mieszczaństwa, czy wśród robotników, panowała obłuda. Dzieci ze spokojem, napozór niewidocznie, grabili i krzywdzili własnych rodziców; szczególniej wiele matek cierpiało z tego powodu.

Ani jedna żona nie była szczerą przedstawiając rachunek ze swych wydatków, ani jeden mąż nie przynosił do domu nienaruszonej płacy. Niewiele małżeństw było sobie wiernych.

Wskazywano jako kochanki „panów” kobiety samotne lub żyjące z mężami, niewiadomo z czego. Niedawno dzikie ojcobójstwo zdarzyło się w pewnej rodzinie: syn zabił ojca w łóżku swej własnej żony. Wiele dziewcząt sprzedawało się nie z nędzy, lecz dla strojów; w czternastym roku życia żadna nie była już zupełnie czystą. Wszystkie jednak pozostawały w domu, zachowując pozory niewinności. Obłuda była cnotą. Nie wolno było mówić przeciw świętości małżeństwa lub przeciw powadze władzy rodzicielskiej. Biada temu, ktoby się ośmielił okazać publicznie takim, jakim był!

Oto dlaczego ci ludzie tak okrutnie potępiali i nienawidzili mego ojca, o tyle od nich wyższego!

Oto dlaczego powstał on przeciwko nim i szedł naprzód!

A dziecko moje miało urodzić się w tym środowisku!

Oczekiwałam go w poważnym skupieniu, odrzucając energicznie każdy napad pesymizmu. Widziałam ciągle obraz mej matki w dalekich nieznanych mi latach jej młodości; żar tego uczucia, jakim mnie ona niegdyś otaczała, dziś przelewałam miłośnie na tego Oczekiwanego.

D. C. N.

Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, aby to bolesne i gorzkie doświadczenie, jakie wynieśliśmy z budapeszteńskiego kongresu, posłużyło za punkt wyjścia do wykreślenia linji wytycznej, której wszyscy Polacy wobec międzynarodowych kongresów obowiązani będą się trzymać. Ponieważ zaś siła ich wystąpień będzie w znacznej części zależna od poparcia innych ludów, będących w tym samym położeniu, wystawionych na podobne szykany i hołdujących tym samym hasłom i dążeniom, jednym z zasadniczych punktów tych wskazań winien być obowiązek solidarności z każdą upośledzoną w swych prawach grupą narodową.

Na tle prawdziwego zdarzenia.

Od roku już blizko — spóźnionego przechodnia w małej, żydowskiej mieścinie zaciekawiało niewyraźne światło z szczelnie zasłoniętego okna wychodzące. Było tam mieszkanie rabina, a o tym rabinie dziwne od pewnego czasu krążyły wieści.

Słynny dawniej z mądrości na okolicę całą, niezwykle dobry, miłosierny, rozmowny, ludzki — teraz zamykał się ciągle w samotnej izbie i noce tam całe przesiadywał — nad czym — nikomu to nie było wiadome, pobladł przytym, wynędzniał, ludzi unikał, od własnej rodziny nawet stronił.

Tajemnicza izba, w której przesiadywał, była przedmiotem ogólnego zaciekawienia, to też nieraz pod zasłoniętym oknem można było widzieć stojących ludzi. Opowiadano w miasteczku, że do izby tej nikogo rabin nie wpuszcza, lecz przez uchylone drzwi widziano, że na stole stoi tam dużo jakichś dziwnych przyrządów i leży mnóstwo książek, a ciekawi słyszeli nieraz w ciszy nocnej jakieś dziwne odgłosy, jakieś huki rozchodzące się stamtąd i widzieli różnokolorowe odblaski — jakby ognie bengalskie.

Czy rabi miewa jakieś tajemnicze z Jehową narady? Któż to mógł wiedzieć. Wiedziano tylko, że z rabinem dzieje się coś niezwykłego, że zaszła w nim jakaś ważna zmiana — bo o tym już sam wygląd zewnętrzny świadczył.

A wszystkie te wieści, wszystkie te domysły były tylko słabym odbiciem rzeczywistości. Bo istotnie, w umyśle rabina Eljezera toczyła się ciężka, przełomowa walka, a niezwykły i dziwny był również i ów przedmiot, któremu on w samotnej izbie czas poświęcał. Bo któżby się domyślił, że ten małomiasteczkowy rabin tak gorliwie zajmuje się — *chemją*, a owe tajemnicze przyrządy, które tam widziano, to retorty i inne naczynia potrzebne do robienia doświadczeń chemicznych.

Gdyby ściany tej ubogiej izby opowiedzieć mogły ile wycierpiał, ile przemyślał zamknięty wśród nich człowiek! Jakie dręczące wątpliwości szarpały ten umysł, karmiony dotychczas wyłącznie tylko Talmudem i innymi księgami „świętymi”, gdy pierwszy raz zakołatała doń potężna przyrodnicza wiedza, walcząca prostą, ale niezwyciężoną bronią — doświadczeniem! Jakąż drżącą od wzruszenia i strachu ręką robił on pierwsze próby doświadczeń, modląc się jednocześnie by mu się nie udały i by to, co mu się prawdą być wydawało, nie było prawdą... Jakąż straszną przeżył on chwilę, gdy zrozumiał wreszcie jasno, że jest ciemny, nędzny, że nic nie umie, że karmił się dotąd fałszem, i fałszu tego uczył innych, — że i nadal — życie całe — świadomie już będzie musiał okłamywać ludzi, bo ma rodzinę, a jest biedny i nic innego nie umie... Biedny, biedny człowiek!

Ale jak się to stało, że rabin Eljezer zabrał się do studjowania chemji? Stało się to przypadkiem.

Mieszkał w miasteczku przez wakacje student, który, wyjeżdzając, sprzedał miejscowemu handlarzowi różne rupiecie, wśród których była i książka. Myśląc, że na niej coś zarobi, obnosił ją handlarz po okolicznych dworach, lecz nie znalazł na nią amatora. Przyniósł więc do domu i czekał na lepsze czasy. Tymczasem syn jego, sprytny i ciekawy chłopak, zaczął do tej książki zaglądać, wczytywać się w nią i różne rzeczy o niej prawić. Zaniepokojony tym ojciec poszedł do rabina zapytać się czy książka ta nie zawiera czegoś złego, i czy syn czytać ją może. Oto jaką drogą do rąk rabina Eljezera dostał się podręcznik chemji, co tak bardzo zaważył na szali jego żywota.

Aby dać sumienną odpowiedź, zaczął przeglądać książkę, czytać ją. A gdy przeczytał raz i drugi, bystry jego umysł coraz lepiej zaczął się orjentować w obcej mu dotąd dziedzinie. Wtedy zapragnął przekonać się, czy to, co w niej było napisane, rzetelną jest prawdą. Pojechał więc do Warszawy, a gdy powrócił, przywiózł wraz z sobą tajemnicze paki i wiele książek, kazał to wnieść do jednej izby, która stała się odtąd jego wyłączną własnością; tam to bezsenne noce spędzał, gdyż w dzień mu przeszkadzano.

Doświadczenia przekonały go, że jeżeli się coś nie udawało, to tylko z powodu jego nieudolności, bo parę razy powtórzone to samo doświadczenie dawało w końcu pomyślne rezultaty — lecz że książka, że nauka w niej zawarta fałszem nie jest.

* * *

Niezwykłe jakieś ożywienie widać w miasteczku wśród ludności żydowskiej. Co chwila tworzą się małe grupki, a imię rabina Eljezera na wszystkich jest ustach. I nic dziwnego — po długiej, ciężkiej chorobie rabi Eljezer pierwszy raz ma się ukazać w bóżnicy i przemawiać do ludzi.

W oznaczonej godzinie wielka ciżba ludu zebrała się przed bóżnicą. Obecni byli zarówno bogacze, kahał, jak też i biedne pospólstwo miasteczka. Niecierpliwili się, bo rabi Eljezer się nie zjawiał. Lecz ukazał się nareszcie. Był śmiertelnie blady, nogi uginały się pod nim gdy, stanąwszy na wzniesieniu, aby przez wszystkich być słyszanym, zawołał drżącym, łzami dławionym głosem:

„Ludu Izraelski! Bądź sędzią moim i powiedz, co ma począć człowiek, który poznał, że jest ciemny, że nic nie wie, i że i innych ludzi — zamiast nauczać, w błąd tylko wprowadzał?! Co ma począć taki nieszczęśliwy człowiek, jeżeli ma przytym żonę i dzieci, którym jeść dać musi, a nic prócz zabobonu i fałszu nie umie i bogatym nie jest? Co ma począć taki człowiek — powiedz ludu?!”

Wielka, śmiertelna cisza zapanowała w tłumie, a potym jedna myśl przez wszystkie przebiegła mózgi: — Rabi Eljezer widocznie zwarjował.

— Warjat, warjat szeptano wszędzie, aż szept ten dobiegł do uszów rabina.

—Warjat!.. .jęknął cicho rabi Eljezer i ukrył twarz w dłoniach. Tak, lud ma słuszność, on jest warjatem, bo nie umiał za łyżkę strawy sprzedać sumienia własnego, co czyni przecież tylu, tylu innych! Tak, on warjatem jest, bo jedna oto książka zburzyła cały ten gmach wiary, na który składało się tysiące wieków, i tysiące mózgów ludzkich. Tak, on warjatem jest, lud powiedział prawdę! Lecz czyż jego to wina, że ma taki umysł dziwny i takie sumienie niespokojne — sumienie i umysł warjata?! I rabi Eljezer podniósł czoło, a czyniąc znak ludowi aby się uciszył — powiedział:

— Mówicie żem warjat. Tak, macie słuszność, warjatem widocznie jestem, bo nagle to wszystko, w com dotąd wierzył, w co wierzy lud izraelski i inne ludy świata, wydało mi się fałszem, i fałszu tego nauczać już innych nie mogę. Warjatem jestem — a więc zamknijcie mnie w szpitalu warjatów, lecz proszę, zlitujcie się, niech żona moja i dzieci nie giną z głodu. Cóż one winne, że mają ojca warjata!

* * *

W parę lat po tym zdarzeniu do gminy żydowskiej w Warszawie zgłosił się starzec o pięknym, ascetycznym obliczu, prosząc o wsparcie dla chorej żony, w wielkiej będącej nędzy. Mówił, że on sam nie może jej dopomóc, bo nie ma żadnych środków do życia.

Rozpytywano go czym się zajmował dawniej i dlaczego popadł w taką biedę. Powiedział, że był rabinem, lecz przeczytał kiedyś książkę, która taki przewrót wywołała w jego umyśle, że nie mógł odtąd nauczać tego, w co sam już nie wierzył.

— Co to była za książka? — pytano go z zaciekawieniem.

— Chemja — brzmiała odpowiedź.

— Chemja? — zawołano z podziwem.

— Tak—powiedział starzec, skłonił się i wyszedł.

— Dziwna rzecz! Dziwny człowiek. Trzeba być chyba warjatem, ażeby jedna książka taki przewrót mogła wywołać w mózgu ludzkim. Dziwny człowiek...

Taki sąd wydano w warszawskiej gminie żydowskiej o rabi Eljezerze.

Sabina Zielińska.

NOTATKI SPOŁECZNO-EKONOMICZNE.

Dwudziestopięciolecie niemieckiego prawa o ubezpieczaniu od nieszczęśliwych wypadków.

Kilka tygodni temu upłynęło 25 lat od czasu wprowadzenia w Niemczech obowiązkowego ubezpieczania od nieszczęśliwych wypadków, jednego z najważniejszych typów socjalnego ubezpieczania klas pracujących. W dziedzinie interesów pracy nie znajdziemy prawa, któregoby sfera zastosowania była tak rozległą i w skutkach swych owocną, jak sfera niemieckiego ubezpieczania od nieszczęśliwych wypadków. Ono bezpośrednio dotyczy olbrzymiej liczby tej części niemieckiej ludności, której środków do życia dostarcza jedynie osobista praca: do nich należą wszyscy górnicy, rzemieślnicy, robotnicy fabryczni, drobni oficjaliści, robotnicy wiejscy, leśni robotnicy przedsiębiorstw budowlanych, drobni urzędnicy pocztowi, kolejowi i t. d. Wszyscy ci pracownicy muszą być obowiązkowo ubezpieczeni od nieszczęśliwych wypadków przez swych najbliższych pracodawców. Jak świadczą dane statystyczne, w 1885 r. osób ubezpieczonych było wszystkiego 3,3 miljona, zaś w 1907 r. — 21, 172,027, czyli że trzecia część ludności w Niemczech korzysta z powyższych ubezpieczeń.

Ten rodzaj niemieckiego ubezpieczania urzeczywistniany jest przy pomocy 66 przemysłowych, 48 wiejskich towarzystw i 329 państwowych, komunalnych i prowincjonalnych urzędów ubezpieczeniowych. Ich operacje finansowe przedstawić można w następujący sposób:

	1886 r.	1896 r.	1907 r.
Dochód	13 milj. m.	96 milj. m.	183,400,890 m.
Rozchód	5 „ „	68 „ „	194,5 „

Niemieckie ubezpieczania od nieszczęśliwych wypadków z każdym rokiem coraz więcej się udoskonalają. Liczba urzędników, obowiązanych doglądać fizycznych warunków pracy i nie dopuszczać do wypadków, zwiększyła się ze 122 w 1901 r. do 299 w 1908 r. Urządzoną została wystawa „robotniczego dostatku i bezpieczeństwa". Rezultatem tych wszystkich udoskonaleń jest fakt, iż za czas 1897 — 1903 procent nieszczęśliwych wypadków z wynikiem śmiertelnym obniżył się z 10,7 do 8,2 dla przemysłu wogóle, a z 6,6 do 5,4 dla gospodarstwa wiejskiego. Widzimy więc, jakąolbrzymią *humanitarną* rolę odgrywa ten rodzaj ubezpieczania. A wobec tego, iż rozwój ubezpieczeń robotniczych znajduje się w ścisłym kontakcie z ekonomicznym rozwojem kraju, nic dziwnego więc, iż powyższy 25-letni okres czasu stanowi jedną z najwięcej wybitnych kart w rozwoju niemieckiego przemysłu.

Bolesław Rozstański.

BADANIA NAUKOWE.

Na początku ery naszej.

Umysł ludzki tworzy naukę, nauka tworzy wiedzę, wiedza stawia zagadnienia bytu, które — w miarę odkrywania rzeczywistości, to jest, dociekania prawdy, rozwiązuje, uszlachetnia tego bytu formy społeczne, udoskonala formy techniczne, podnosi kulturę, a przewidując przezornie możebne wyniki teraźniejszości, zapobiegając szkodliwym, powstrzymując zgubne popędy tłumów ciemnych, przygotowuje przyszłość. Wszystko to razem wzięte stanowi postęp. I tak, postęp jest bezpośrednim wynikiem umysłu ludzkiego.

Postęp, jako zjawisko wyłącznie ludzkie, wyodrębnia w świecie zwierzęcym, z którego sam człowiek powstał, rodzaj ludzki. Wyodrębniwszy go, dostarcza mu zatym środków zapanowania nad tym światem.

Postęp, jako zjawisko wywołujące dzieje i urzeczywistniające się w dziejach, wyróżnia w rodzaju ludzkim ludy i narody. Wyróżniając zaś, zabezpiecza im odrębne istnienie, nadaje temu ich istnieniu trwałość nieodzowną, a zarazem — staje się warunkiem koniecznym zabezpieczonej trwałości.

Ponieważ postęp wyróżnia ludy i narody w rodzaju ludzkim i zabezpiecza w nim istnienie ich jako odrębnych, od siebie niezależnych i samodzielnych całości społecznych, przeto rzec możemy, że od uzdolnienia umysłowego każdego pojedynczego narodu zależy nietylko samo istnienie jego, ale i mniejsza lub większa trwałość tego istnienia. Czym wyższa oraz sprawniejsza umysłowość danego narodu, tym doskonalsze samo istnienie jego, tym bardziej zabezpieczona trwałość tego istnienia w czasie, stanowiącym dzieje powszechne.

Zbolały tym, na co wciąż patrzeć, znękany tym, co odczuwać wciąż muszę, zgnębiony i przerażony losem najnieszczęśliwszego niechybnie na całej kuli ziemskiej narodu, który jest moim narodem, gdym poczynał już stan obecny jego przypisywać upośledzeniu umysłowości szczepowej, gdym obwiniał ten najbardziej ze wszystkich dręczony naród o nieudolność wytworzenia postępu, przewidującego przyszłość i zabezpieczającego istnienie, gdyż widziałem w dziejach trzywiekowy ich okres, przygotowujący teraźniejszość, — kilka nowych prac historycznych pozwoliły mi sięgnąć przeszłości, kiedy ten sam naród stał na czele ruchu umysłowego w całej Europie. Kilka świeżych książek, otwierających przede mną niby zapomniane w interesie obcym, a więc zamilczane, więc mało badane czasy — zachęciły, bym się zatrzymał i spoczął na tej przeszłości, w której ten właśnie naród rozwinął rzadkie własności umysłu swego i charakteru, w której wydobył z siebie moc niezwykłą, błysnął jasnością i śmiałością iście wyjątkową... [1])

---

[1]) Oto są te prace historyczne:

Hr. Walerjan Krasiński: „Zarys dziejow powstania i upadku Reformacji w Polsce", tłumaczenie z angielskiego, tomy I — II Warszawa, 1903 — 1905.

H. M: „Zbory i Senatorowie protestantcy w dawnej Rzeczypospolitej, z mapą Dawnej Polski pod względem koś ielnym

Przeszłość ta nie tonęła wszakże w mroku dziejowym, nie pogrążała się w tajemniczym chaosie wydarzeń minionych. Owszem — okazała się nawet od czasów obecnych niezbyt odległą i odbywała się w pełni świadomości dziejowej; rozwijała się w oczach wszystkich narodów europejskich.

Był to bowiem tylko wiek XVI, bezpośredni poprzednik owego okresu zgubnego, który wytworzył czasy obecne.

Czym w wieku XV staje się Czechja, tym w XVI — Polska.

W długim szeregu stuleci, XVI-te nosi przedewszystkim nazwę czasów Reformacji, wieku Protestów, wystąpienia Protestantyzmu. Czynność bowiem umysłowa, spotęgowana w nim i jego zakresem poniekąd ograniczona, podjęła głównie reformację, acz następnie zatrzymaną, wierzeń, wprowadzonych do Europy na początku naszej ery, i uwydatniła się w protestowaniu przeciw, niektórym tylko na razie, wynikom tych wierzeń.

By wszelako ująć istotę wewnętrzną owej Reformacji, a właściwie próby Reformacji, od której wszakże rozpoczyna się nowy zwrot w dziejach nowożytnych; by, o ile to jest możebnym, zrozumieć sam Protest, który nadaje temu wiekowi poważne znaczenie punktu zwrotnego w dziejach umysłowości wszystkich narodów europejskich, cofnąć się musimy do wypadków dziejowych, które te wierzenia wprowadzają, i poznać treść i charakter tych wierzeń, które nową erę w dziejach wytworzyły.

Dopiero na takim tle mogą być zrozumiane próby Reformacji i jej istota. Dopiero taki punkt wyjścia pozwoli słusznie ocenić ostatni akt tej próby, który się odbył w Polsce XVI-go wieku i w którym gorący i przedstawicielski udział brali Polacy.

I.

Wśród przybywających z Azji do Europy ludów i narodów najważniejszą rolę odegrali Żydzi.

Gdy inne ludy wchodziły gromadnie, Żydzi wciskać się poczęli małymi grupami, a nawet pojedyńczo lub rodzinami. Gdy inne ludy drogę sobie torowały orężem, przemocą zajmowały ziemię, zdobywały grody, Żydzi przybywają bezbronni, głównie jako wygnańcy z własnej ojczyzny, zburzonej przez wojska europejskich Rzymian, rozproszeni siłą po całym podówczas znanym świecie. Gdy inne ludy bądź się zlewają z miejscową ludnością i giną przez nią pochłonięte, naprzykład na Wschodzie Europy, bądź też zakładają w niej na ograniczonej przestrzeni państwa osobne, naprzykład: Węgrzy, Turcy,—Żydzi, jako spokojni przybysze, a nawet, pożądani częstokroć pracownicy, przedzierają się, pozostając jednakże zawsze sobą, przez całą Europę, docierają do Atlantyku, do wysp Brytańskich, wszędzie się osiedlają i zagospodarowują. Ni góry ni rzeki nie stanowią im przeszkody w posuwaniu się naprzód. Granice państw dla nich nie istnieją wcale. Przechodzą z jednego do drugiego, jakby tych granic nie było wcale.

Następstwa dziejowe osiedlenia się Żydów w Europie nie odpowiadają wcale skromnym i cichym jego początkom.

I. Żydzi będąc bezbronni, nie byli wszelako pozbawieni oręża. Orężem tym stała się Księga, zawierająca szczątki starożytnego ich piśmiennictwa. Z Księgi tej dowiadywały się ludy europejskie, że Bóg narodowy Żydów, Jehowa, był i jest Bogiem prawdziwym, rzeczywistym, jedynym na świecie; inni zaś Bogowie, a więc i Bogowie tych ludów, przez nie dotychczas wyznawani i czczeni, są płodem ich wyobraźni, wcale nie istnieją, lub, jeśli tylko istnieją, są raczej złymi niż dobrymi duchami, są poprostu djablami.

Dalej się dowiadywały, że to ów Jehowa, a nie inny Bóg jaki, rządzi tym światem, a rządzi według swej woli i planów, a oni, Żydzi, będąc z nim związani przymierzem, są jego narodem ukochanym i wybranym ze wszystkich istniejących na znanym podówczas świecie dziejowym. Wybrani zaś są dla urzeczywistnienia jego woli, wykonania jego planów. Inne — zostały przez Jehowę odrzucone, zapomniane, w pewnych potępione celach.

Taki wszelako stan rzeczy nie miał trwać bez końca. W tej Księdze znajdowały owe właśnie zapomniane, odrzucone i potępione ludy uroczyste zapewnienia, że nadejdzie czas, kiedy wogóle wszyscy mieszkańcy tego zakątka kuli ziemskiej żydowskiego Jehowę za swego Boga również uznają, a swoich dotychczasowych Bogów się wyrzekną. A ponieważ ma się to stać za sprawą Żydów, więc ci Żydzi pod przewodnictwem zesłanego przez tegoż Jehowę jego pomazańca, Mesjasza, swoją utraconą odzyskają ojczyznę, zewsząd do niej powrócą i staną na czele wszystkich narodów na ziemi, a Jerozolima ich zostanie stolicą świata całego.

Nareszcie stało się tym ludom wiadomym, że ta Księga zawiera własne słowa Jehowy, zapisane przez ludzi umyślnie przez tegoż Jehowę do życia powołanych, by te jego słowa zapisywali i na nich swoją naukę i czyny opierali.

Treść tej Księgi nie mogła pozostawać dla ludów, wśród których osiedli i osiedlali się Żydzi, obojętna. Owszem, dotykała, jak widzimy, ich przyszłości, nawet — ich istnienia. Wykazywała bowiem zamiary, a raczej, zważywszy warunki, ideały społeczne i marzenia polityczne Żydów, z którymi się oni nie kryli wcale, skoro samą Księgę dostępną wszystkim uczynili.

Zastąpić oni mieli w panowaniu nad owoczesnym światem dziejowym Rzymian, owoczesnych tego świata władców. Stawała się przeto ta Księga przestrogą przed przybyszami, a w swej istocie była wyzwaniem do walki. Słusznie więc mogłaby wzbudzić w ludach europejskich, oraz i w innych, azjatyckich i afrykańskich, składających państwo rzymskie, konieczne przeciwdziałanie, czujność i gotowość do odpowiednich wyzwaniu czynów. Pod wpływem tego wyzwania słusznie powstaćby mogła w tych ludach obawa o swą kulturę, żal po swoich bogach, którym groziło odrzucenie i zapomnienie. Owa obawa i żal spotęgować powinnyby były w nich przywiązanie do swojej przeszłości, wywołać przerażenie przed nieznaną przyszłością, strach i grozę stawania się czymś innym, niż dotychczas...

Lecz czym były podówczas ludy i narody, stanowiące państwo rzymskie?

Państwo to wyssało z nich wszelką myśl samodzielną, pozbawiło je wszelkiej energji umysłowej i życiowej, a więc—podstaw samoobrony. Kultura owoczesna była im obcą, przez Rzymian narzuconą, rozwój

---

ewangielickim". Warszawa, 1905. (To dzieło weszło do poprzedniego w charakterze Dodatku).

Aleksander Brückner: „Różnowiercy Polscy", Serja I. Warszawa, 1905.

Szczęsny Morawski: „Arjanie Polscy", Lwów, 1906.

Tadeusz Grabowski: „Z dziejów literatury Kalwińskiej w Polsce", Kraków, 1906.

„ „ „Literatura Arjańska w Polsce", Kraków, 1908.

Wymienione zachęcły mnie do poznania wcześniejszych:

Józef Łukaszewicz: „O Kościołach Braci Czeskich w dawnej Wielkopolsce", Poznań, 1835.

„ „ „Dzieje Kościołów Wyznania Helweckiego w Litwie", tomy I — II. Poznań, 1842 — 1843.

„ „ „Dzieje Kościołów Wyznania Helweckiego w dawnej Małej Polsce", Poznań, 1853.

X. Juljan Bukowski: „Dzieje Reformacji w Polsce od wejścia jej do Polski aż do jej upadku", tomy I — II, Kraków, 1883 — 1886.

bowiem własnej przerwał im podbój rzymski. Bogowie właśni, jak i ich czciciele obezwładnieni, ustępowali i kryli się przed państwowym Jowiszem i otaczającym go pocztem bogów pomniejszych. O przeszłości przedpodbojowej zapominać zmuszała ich teraźniejszość. Zanikała więc w pamięci i zanikła, a wraz z pamięcią o niej i przywiązanie do niej. Przyszłość przestawała ich zajmować i nęcić, gdyż zależała od obcych i wrogich Rzymian, przytym całkowicie była w ich rękach. Groza stawania się czymś innym — nie sobą nie przerażała ich, gdyż czym innym już, nie sobą, stawały się od czasów podboju. Zniknięcie ze świata Jowisza jako symbolu państwa rzymskiego, ustąpienie jego przed zwycięskim Jehową — raczej pocieszać je, niż trwożyć mogło. Wszak to byłoby zapowiedzią, byłoby oznaką upadku Rzymu. Wrogowie Rzymian, jacykolwiek oni byli, z natury rzeczy stawali się ich sprzymierzeńcami, opiekunami, dobroczyńcami, gdyż byli ich mścicielami. Nienawiść ku zwycięzcom zwykle oślepia. Ją zemsta jedynie uspokaja.

To jedno. Jest i drugie.

Wraz z przybywaniem Żydów wszędzie się przedostawała, a często kroć nawet ich przybycie poprzedzała — Księga inna.

Ta inna, nie podkopując znaczenia tamtej, nie pozbawiając tamtej pierwszorzędnej wartości, zmieniała zupełnie stosunek Żydów do innych ludów i narodów; nie Żydów, lecz te ludy i narody czyniła panami przyszłości.

I tak: potwierdzała ona nadprzyrodzone pochodzenie tamtej, oraz zupełną słuszność żądań i praw Żydów do zapanowania nad światem; ale zarazem głosiła, że okoliczności zupełnie się zmieniły. Żydzi, według niej, przestali być narodem wybranym, wyłącznie i jedynie ukochanym przez Jehowę, a staje się nim każdy, który w treść tej innej Księgi uwierzy i ją za nieodzowne uzupełnienie tamtej poczytywać pocznie.

Za cóż więc Żydów spotkała ta gwałtowna kara? Oto, według tej innej Księgi, rzecz tak się przedstawiała. Jehowa, wierny swej obietnicy zesłania Żydom Mesjasza, uczynił to, co przyrzekł. Nawet więcej. Gdyż w osobie Mesjasza zesłał syna swojego. Żydzi go nie poznali, oprócz drobnej garstki, a nadto pod sąd go oddali i ukarali sromotną, jako zbrodniarza zwykłego, śmiercią.

Plany Jehowy, ułożone przed wiekami, a może nawet przy stworzeniu świata i ludzi, zostały w taki sposób, jakby niespodziewanie, zupełnie pokrzyżowane. Nie przez naród żydowski Jehowa dał się poznać odrzucanym przez siebie dotychczas innym ludom, ale prawie bezpośrednio, przez syna swojego, a właściwie przez tę garstkę Żydów, która w tym synu uznała początkowo Mesjasza a następnie już i syna Jehowy. Role się więc zmieniły! Wybrani — zostali odrzuceni i potępieni. Dotychczas odrzucani i potępiani — wybranymi. Rozsianie Żydów po całym świecie i ich istnienie samo w nowych warunkach miało wykazywać i dowodzić kary na nich zesłanej, a jeszcze więcej — wszechmocy i sprawiedliwości Jehowy.

Obawa, trwoga, przerażenie, wywołane tamtą Księgą żydowską, ustąpiły wobec tej drugiej. Co więcej — w tej drugiej, jak Żydzi w pierwszej, ludy i narody europejskie i poczęści azjatyckie i afrykańskie, które weszły były w skład państwa rzymskiego, znajdowały oręż, jeśli nie do czynnej walki z Rzymianami, jeśli nie do wystąpienia przeciwko nim, na co im nie pozwalały warunki ogólne, to przynajmniej — do walki biernej, oporu milczącego. Właśni bogowie dostarczyć im opieki i obrony nie mogli. Że ustąpili przed rzymskim Jowiszem — było rzeczą wiadomą, zbyt nawet widoczną i doświadczoną. Czego ludom swoim nie mogli dać ci pokonani, że da im Jehowa — przyobiecywały obie Księgi, z którymi się poczęły zaznajamiać. Zwłaszcza je nęciła i krzepiła druga, nic oprócz wiary nie wymagająca. A cóż jest łatwiejszego, jak przy pewnym stanie umysłu, wynikającym z jego niemowlęctwa, lub przygnębienia, jak wierzyć. Nawet nic prócz wierzenia w tym wypadku nie pozostaje, tylko na wierzenie umysł taki zdobyć się może. Wiara, będąc bardziej nieświadomym instynktem niż świadomym aktem umysłu, z istoty swej jest bierną; najzupełniej więc odpowiada potrzebom owoczesnych przełomowych stuleci.

Obie te Księgi w rękach tych, do których się dostawały, zlewały się w jedną. Pierwsza, będąca w swej treści głównie dziejami Jehowy, stała się podstawą i źródłem jedynym wiedzy; druga, będąca w swej treści głównie dziejami Syna tego Jehowy, stała się, na podstawie nauki temu Synowi przypisywanej, podstawą i źródłem nadziei na przyszłość a więc podporą w zgnębieniu, pociechą w ucisku, lekarstwem na niemoc polityczną, a raczej—narkotykiem pozwalającym znosić cierpliwie ową niemoc. Obie — już jako jedna całość, otrzymawszy nazwę Pisma Świętego, Księgi jedynej, wyłącznej, Biblji, wyparły początkowo w narodach starożytnych, które uległy potędze państwa rzymskiego, naprzykład w egipskim, następnie nawet i w greckim, rzymskim, ich własne piśmiennictwo starożytne, a z piśmiennictwem — kulturę umysłową, do której ono prowadziło, naukę — którą ono przynosiło. W miarę występowania na arenę dziejową młodszych ludów europejskich, ta Księga stała się podstawą i ich wychowania, kształcenia, i ich wiedzy i nauki, a zarazem jak i starszych tak też i ich życie przełamywała na dwa okresy: na przeszłość, której nakazywała jak najrychlej zapomnieć i wyrzec się, i na przyszłość, do której miała przygotowywać. Poza tą Księgą wszelka inna istnieć nie mogła jak dla jednych, tak i dla drugich.

W taki to sposób, wskutek szczególniejszego zbiegu wypadków dziejowych, Księga przechowująca szczątki piśmiennictwa ludu, który w starożytności nie brał żadnego udziału w pracy cywilizacyjnej, który żadnej prawdy naukowej ogólnemu skarbcowi wiedzy nie przysporzył, pomimo swej historjozofji, uzupełniona wyłącznie w duchu tych szczątek, legła niby kamień grobowy na myśli ludów aryjskich, przytłoczyła swym ciężarem ich życie umysłowe i społeczne, wiedzę cofnęła do jej pierwotnego stanu, kiedy jedynym dla niej źródłem były mity i podania, kiedy nad nią niepodzielnie te mity i podania panowały i ją stanowiły.

(c. d. n.). *I Radliński.*

LITERATURA i SZTUKA.

O dramacie Andrejewa.

I.

Leonidas Andrejew stworzył niejako nowe pojęcie o wzniosłym, o sztuce, estetyce, literaturze — życiu. Stworzył niejako nowy dramat, wypełniający od czasów Arystotelesa jeden jedyny kanon dramatyczny: budzić grozę i litość. Dla niego, jak i dla Plotyna, twórcy szkoły neoplatońskiej, najlepszym środkiem do wywołania wrażenia jest żywe przedstawienie tego, co jest naprawdę wielkim i wzniosłym. I jakkolwiek nikt nie jest tak dalekim, jak on, od wzorowania się na formach dramatu klasycznego, to jednak te kardynalne zasady estetyki każą mu swój dramat budować tak, by w nim ten ostateczny cel: *wrażenie* — narzucał się widzowi z sugiestywną mocą i siłą, by w umyśle jego wywoływał asocjacje, do pierwszych drgień duszy

twórcy zbliżone. Stąd więc jego dramat będzie np. nieco odmienny od dramatu Fryderyka Hebbla. *Konieczność* — ów podstawowy czynnik heblowskiego dramatu — nie występuje bezwiednie, lecz gubi się w mroku, otaczającym współczesną duszę rosyjską, i z niego dopiero pod postacią refleksji, żrącej, jak nieubłagany roczyn chemiczny, wydobywa się na zewnątrz, by ukazać się w całej swej ohydzie lub grozie.

Już Kant zdefinjował pojęcie wzniosłości, jako coś przekraczającego wszelką miarę naszej zmysłowości — albo niezrównaną swą wielkością, albo niezrównaną siłą. Andrejew, wychodząc może bezwiednie z owego założenia kantowskiej estetyki, załamuje swój dramat — może najbardziej z twórców współczesnych, począwszy od Maeterlincka, a skończywszy na Hebblu — pod kątem tak zrozumianego pojęcia wzniosłości.

Koncepcja jego utworów, zazwyczaj ukryta przed wrażliwą myślą widza lub słuchacza, leży niejako poza jego zmysłowym odczuwaniem. Wyolbrzymiała do potęgi Nieświadomego, przybrana w kształt wizyjny, lecz mimo to bardziej niż u Maeterlincka, Flauberta („Kuszenie S-go Antoniego") i in. — plastyczny, realny, — wydaje się jakąś przeraźliwą zjawą na horyzoncie sztuki współczesnej. Nie będąc dostatecznie zrozumianą, nie przestaje być wzniosłą. A z chwilą — gdy wejdzie do świadomości, zapada tak głęboko w duszę widza lub słuchacza, że staje się niejako podskórnym dreszczem jego zaledwie przeczuwanych, zaledwie uświadamianych inwencji twórczych, przedostaje się do najbardziej ukrytych komórek mózgu. Ten szalony wir psychologiczny, w jakim Andrejew pogrąża swój dramat, zewnętrznie prymitywny i pozbawiony efektów, da się porównać jeno z otchłaniami zbrodni u Dostojewskiego, z rozwartą paszczą wizyjności, ogromem Zła i Grzechu u Baudelaire'a, z otchłanną psychologją mroku u Edgara Poe'go.

I wtedy dopiero Andrejew jest *sobą*. Z Golgothy Ducha, Golgothy współczesnych przeżyć duszy rosyjskiej, zawsze z myślą o życiu, „które ciąży człowiekowi jak los ponury i zagadkowy" (O. Bazyli Fiwejski), schodzi do nizin społecznych, unosząc swoją prawdę. Lecz, schodząc, będzie się zatrzymywał co krok przed każdym odgłosem Duszy, będzie stawał z myślą o „człowieku" i będzie się wpatrywał w mglisty prapoczątek Istnienia, „gdzie wszystko tak tajemnicze i straszne". A wówczas prześladować go będą jakieś groźne, potężne i nieuświadomione własnej Jaźni siły, jak np. w „Opow. o Sergjuszu Piotrowiczu"; będzie nań czyhał straszny Los-Mściciel jak w „Ku gwiazdom", „Życiu Człowieka" lub „Gubernatorze"; i prześladować go będzie siła Nieświadomego, jak w „Eleazarze". — A kiedy już znajdzie swoją prawdę, której szukał z takim utęsknieniem i bólem, to okaże się, że prawda ta nie istnieje, że „ziemia ze wszystkim, co jest złe na niej, przykuła go do siebie swą męką".— i wówczas nie chce, iżby mówiono o nim, że jest „dobrym człowiekiem" („Sawwa").

Tak poprzez wężowisko sumień, poprzez mrok, panujący w duszy „Sawwy", poprzez pogodną jasność duszy Trentowskiego, poprzez Judasza z Karyothu, — przedziera się On ze swoją Prawdą. Zbliża się *„ad astra!"* — *„Temnitur hic humilis tellus!"* — A jednak w końcu Nieskończoność zarysowuje się przed jego oczyma jako nieprzerwany dalszy ciąg konieczności, staje przed nim jako nieznana tajemnica początku i końca, a człowiek drży przed nią i beznadziejnie opuszcza ręce. Ostatnie schronisko jego rozpada się w gruzy i oto staje on teraz bezradnie wobec tajemniczej potęgi, wobec Życia „z jego zagadkowym początkiem i zagadkowym końcem" („Życie Człowieka").

II.

Ta droga negacji — jest właśnie drogą Andrejewa. Po niej w linjach falistych, krętych, możnaby powiedzieć monumentalnych w swej aklasycznej strukturze, prowadzi on *dramat*, którego prolog jest cudnym w swej prostocie poematem „przed obliczem czasu i Śmierci", epilog zaś bolesnym bankructwem ideałów tłumu, który do nich dorość nie umiał. Składa się nań już nie walka abstrakcyjnego człowieka z życiem, wychodzącego poza obręb swej Jaźni („Ku gwiazdom", „Życie Człowieka", „Sawwa"), lecz walka abstrakcyjnych, a mimo to realnych grup społecznych, usiłujących wznieść nowe podwaliny nowemu życiu na gruzach dnia wczorajszego. Dramat ten — to „Car-Głód".

L. Andrejew, jak niegdyś Knut Hamsun, zatrzymał się przed olbrzymim problematem społecznym. Lecz nadał mu szersze podłoże. Nie uczynił go tragiedją i dźwignią życia jednostkowego. W jego oczach urósł on do znaczenia olbrzymiego motoru, poruszającego masy całe. Odrzuca on wszelką tendencję natury czy to artystycznej, czy etycznej. Pieści się szalonym w swej koncepcji pomysłem. Śni świat nowy, niesłychany, pełen barw i życia, niedotknięty dotąd stopą człowieka — i w homeryckie niemal wchodzi z nim zapasy. A jednak jest to świat jeno odwiecznej, codziennej walki o byt, o istnienie. Głód rozpościera nad duszami panowanie. Andrejewowi obcą jest poezja, w której niema *życia*. Ciężkie, jednostajne westchnienia kotłów parowych zlewają się tam z gwizdem i pomrukiem obracanych kół; szelest w nieskończoność biegnących transmisji miesza się z biciem wielkich młotów parowych. Tnie wszystko wyzębiona piła satyry, tętnią odgłosy bolesnej ironji, — wyzwala się gromkie Dziś, by skonać pod ciosami Jutra. To dramat.

Nicią przewodnią, która sprzęga luźne fragmenty, powiązane w obrazy — Głód, wyniesiony do królewskiej potęgi mocarza. Wyciągnął On rękę swoją ponad pracownikami fabryk i warsztatów, nad bezdomnie tułającym się proletarjatem ulicznym, — i oto skierowuje ich, jak niegdyś „Tkaczów" Gerh. Hauptmana, nie na drogę organizacyi, lecz na drogę buntu — burzenia wszystkiego, co znamionuje starą kulturę ludzkości. Wraca tu znowu problem z „Sawwy". „Trzeba ażeby człowiek współczesny ostał się nagim na nagiej ziemi". Trzeba „zejść do nizin, do prapoczątku, do owych pierwotnych bohaterów buntu, dla których bunt był religją, a religja buntem" („Mrok".)

Lecz tragiedją tych ludzi andrejewowskich jest to, że zginąć *muszą*. To nie olbrzymy buntu. To ludzie mali, drobni, skarłowaciali, — *mob*, tłum, masa ślepa, posłuszna i karna. Nie przyświecają im „Jutrznie" Vaerharn'owskie: „Twórz nowe życie, odbudowuj stare!" Mogą zburzyć wszystko, nie umieją stworzyć niczego. Tragedja „Sawwy" leżała w tym, że był on tylko burzycielem — nie twórcą, nie „budownikiem", nie „odnowicielem". Tragiedją tłumu andrejewowskiego będzie to rozpasanie i ta dezorganizacja, jaką z sobą wnosi i wobec której staje bezradny. Dramat Andrejewa — jest wobec tego dramatem ludzi, pozbawianych etycznego podłoża, „którzy winni być osądzeni w imię Djabła!" „Podnieśli oni rokosz przeciwko życiu, sądzą, że ziemię trzebaby rozbić, wielu z nich stoi w ciemnościach, mówią, że niema nic, ani nieba, ani słońca, że na ziemi wieczna noc. A to nieprawda. Ziemia jest piękna, jak wirydarz niebieski. Trzeba ją strzec i pieścić, jak maleńką dzieweczkę!" (Obraz 1-szy.) Nie umieją oni chodzić po tym „wielkim ogrodzie życia, w którym rosną kwiaty miłości i piękna", — przeto polec muszą.

Lecz mimo wszystko — sympatje Andrejewa są po stronie tych wykolejeńców losu — ludzi tragicznych. Bo oto dalej rysuje on środowisko nawskroś odmienne, pozbawione ideałów, idące deptakiem

codziennych potrzeb i interesów. Lecz maluje je w barwach tak odpychających, tak groteskowo jaskrawych, iż wydają się jakąś naroślą chorobliwą na narządach społecznych, jakimś doszczętnie zgangrenowanym członkiem tu i ówdzie zdrowego jeszcze organizmu. Bezradność tego quasi-społeczeństwa, któremu w czasach starożytnych patronowałby Crepitus, bożek trawienia, uwydatnił Andrejew w Obrazie IV-tym „Cara-Głodu", a dokonał tego z bajecznym zrozumieniem tych warstw, patrzących obojętnie z zupełną abnegacją, od czasu do czasu wstrząsaną konwulsjami strachu — na niszczenie starej kultury, w której wzrośli.

(d. c. n.) *Bolesław Podlewski.*

Czesław Królikowski: **Kwiat konwalji.** Poemat prozą Lublin 1909.

P. Królikowski najwidoczniej przypuszczał, że najłatwiejszą rzeczą na świecie jest napisanie „poematu prozą" — a to dlatego, że taki „poemat" nie wymaga rymów, których on dobrać nie potrafi, ani rytmu, którego nie mógłby odczuć. Przy pisaniu owego utworu nie wiadomo dlaczego nazwanego „Kwiatem konwalji" — zapomniał widocznie, że *nawet* „poematy prozą" wymagają od autora zdrowego rozsądku. Dzięki tej okoliczności, utwór p. Królikowskiego jest niezmiernie wesoły... Szkoda, tylko że stał się takim wbrew intencji autora, który nagromadzeniem przerozmaitych—okropności chciał wywołać grozę!...

Artur Gruszecki: **Swiatłodławcy.** Powieść. Warszawa 1909 r.

Gdyby to, co pisze o szkole galicyjskiej p. Gruszecki było istotnie prawdą, w dziesiątej części zaledwie, należałoby załamać ręce nad zrobaczywieniem autonomicznych Polaków, którzy w zapale ugodowego pełzania przed rozpanoszonym klerem własnymi rękoma dławią racjonalny rozwój intelektu i obniżają świadomie wartość niezależności społecznej!

Należy jednak przypuszczać, że egzaltacja rutynowanego powieściopisarza — nie zabarwiła jego pióra zbyt jaskrawymi barwami!

Stąd dosyć niewyraźne oburzenie autora przeciw postępowaniu luminarzy galicyjskiej szkoły — jest tym dziwniejsze, że utwór p. Gr., nie posiadający wartości literackiej — jest w tendencji swojej powieścią społeczną i tylko z tego stanowiska patrząc, można ją zauważyć!... Poza tym powieść p. G. jest tylko dowodem jego duchowego ubóstwa w chwilach estetycznego wzruszenia. Niema w niej ani jednego momentu, unoszącego się ponad pospolitość przeciętnej szarzyzny i banalności!

Feliks Witold Nowicki: **Pod Czarem. Erotyki.** Warszawa 1909 r.

W erotykach p. Nowickiego i we wszystkich wogóle jego wierszach niema żaru i płomieni, przy pomocy których tak łatwo, młodemu najwidoczniej poecie, wpaść w nieprzyjemną przesadą.

Egzaltacja autora nie sięga zbyt dalekich widnokręgów cierpienia. Jego tęsknota najzupelniej szczera wzrasta jako biały kwiat w cichym ogrodzie. Tym światem natchnienia jest miłość, o ile sądzić można z nastroju poezji — czysta i wzniosła, pełna czarującego smutku Słowackiego, pod którego silnym wpływem znajduje się p. Nowicki. Lecz, mimo zbyt ciasnego może kręgu szamocącej się duszy młodego poety, można bezwarunkowo mówić o jego przyszłości. P. Nowicki ma niewątpliwy talent, który, miejmy nadzieję, wyswobodzi się z pod czaru kobiecych uroków — a wtedy popłynie śmielej i lotniej!

St. Kiedrzyński.

TEATR MAŁY: **Mentor.** Komedja w trzech aktach Jana Aleksandra hr. Fredry (syna).

Teatr Mały przeszedł na własność p. Kazimierza Zalewskiego. Pan Gawalewicz byłby daleko piękniej zamknął swą działalność, gdyby, zastrzegając sobie zresztą pewne prawa do ewentualnych dochodów w przyszłości, był oddał stworzony przez siebie przytułek sztuki swym współpracownikom, gdyby był powierzył swe dzieło tym, którzy walczyli wraz z nim o byt maleńkiej sceny i pracą swą zdobyli dla niej sympatję wszystkich, którzy choć cokolwiek interesują się u nas teatrem. Aristide Bouccicaut mniej zapewne kochał stworzone przez siebie Bon-Marché i przedmiot jego kochania niższym był przecież w swej istocie, a jednak nie chciał on szukać godniejszego dla siebie zastępcy nad ten zespół towarzyszów pracy i walki, którzy z jego zamierzeniem związali swą dolę.

Tego rodzaju instytucja, pozbawiona charakteru prywatnej imprezy i istniejąca pod hasłem: „Sami sobie", już przez to samo miałaby prawo liczyć na poparcie ogółu i mogłaby się stać pięknym przykładem kooperatywy, która jest formą przyszłości dla wszelkiego zbiorowego wysiłku.

Ale p. Gawalewicz obrał drogę prostszą, a raczej tylko bardziej utartą: obejrzał się za nabywcą i znalazł go w osobie p. Kazimierza Zalewskiego. A więc—le roi est mort, vive le roi! Pisma obrazkowe podają dostatecznie już znaną Warszawie podobiznę p. Zalewskiego, posądzają go o posiadanie pewnego programu, który ma się zarysować w przyszłości, zalecają cierpliwość i prasa cała zachowuje tę oględną rozwagę, która, nie chcąc zniechęcać, boi się przystąpić do chłodnego rachunku. Ale ta sama prasa nie chciała również zniechęcać publiczności, gdy p. Rajchman, po tylu niefortunnych próbach pokazania nam jak to grają i śpiewają zagranicą, chciał nam wreszcie pokazać, jak to latają zagranicą.

Dotychczasowe *performances* p. Zalewskiego jako kierownika sceny przedstawiają się dość smętnie: krótki okres jego rządów w Rozmaitościach pozostawił po sobie przykre wspomnienia; p. Zalewski obniżył i tak już niewysoki poziom naszej sceny, patrzał spokojnie, jak coraz bardziej zapadała ona w bezład i zaniedbanie, a ja sam nie zapomnę nigdy pewnego przedstawienia „Hamleta", którym poczęstowano mnie tu zaraz na wstępie, gdy po wieloletniej nieobecności powróciłem do kraju.

Sypały się protesty i żądania reform—a p. Zalewski snadź sam ocenił, iż trudne zadanie przerastało jego siły, gdyż pomimo kontraktów nie opierał się przy stanowisku, które mu one na pewien czas jeszcze gwarantowały. P. Zalewski objął wówczas kierownictwo Szkoły Aplikacyjnej i niezwłocznie z młodą swą drużyną zapragnął zdobyć sobie znów scenę, a sięgnął aż po Sofoklesa. Lecz drużyna była nietylko młoda, ale i za młoda, a wódz nietylko odważny, ale i nieostrożny, więc eksperyment nosił charakter raczej popisu szkolnego o niezdecydowanych zresztą rezultatach.

Z takimi dorobkami wchodzi p. Zalewski do Teatru Małego i przez usta współpracownika *Tygodnika Ilustrowanego* spowiada się ze swych planów. Więc przedewszystkim obiecuje w przyszłości stworzyć program dla swego teatru, przyrzeka pokazać ten kamień filozoficzny, którego na gwałt domaga się prasa od kierowników Teatrów, chociaż nikt jeszcze nie pokusił się bliżej go określić i choć jaki taki zaprono-

wać projekt. P. Zalewski oświadcza następnie, że zamierza stworzyć zespół artystów, w którego skład wejdą najwybitniejsze jednostki z grona współpracowników p. Gawalewicza, jak również nowe siły, które p. Zalewski odkrył wśród wychowańców szkoły aplikacyjnej. Między tymi ostatnimi większość stanowią les inédits, których nie miałem jeszcze sposobności widzieć na deskach teatru, zaś p. Zbucki, którego zaprezentowano nam w „Mentorze", nie zdaje się budzić wielkich nadziei, a p. Bończa, pomimo pierwszorzędnych zewnętrznych warunków, przez długi czas jeszcze będzie musiała walczyć z akcentem, który szczególniej na scenie Warszawskiej przykre robi wrażenie. Z drugiej strony, w szeregach, które ugrupował koło siebie p. Gawalewicz, widzimy poważne wyłomy. P.p. Dulębianka, Janecka i Bartoszewska przeszły do teatrów rządowych; jeszcze poważniejszą stratę dla Teatru Małego widzę w ustąpieniu p. Duninówny; ubył również p. Staszkowski. Z dawniej więc znanych mi, wybitniejszych sił pozostają tylko: p. Pytlińska i p. Łącka — Pawłowska, której szczery talent czeka na odpowiednie spożytkowanie go, i p.p-owie Orliński, Zieliński, Kuncewicz i Noskowski. P. Zalewski musiał pospiesznie kompletować swą drużynę i chce się widocznie zeprzeć na świeżych siłach, które, jako element mało lub wcale nie wyrobiony, wymagać będą bardzo starannego kierownictwa. Trudne to zadanie powierzył p. Zalewski młodemu reżyserowi p. Orlińskiemu.

P. Orliński posiada dwie cechy, które rzadko chodzą w parze: jest on zdolnym i pracowitym zarazem. Każda z ról, w których go dotąd widziałem, była szczegółowo i starannie opracowaną i to pozwala mi sądzić, że wybór p. Zalewskiego okaże się najzupełniej trafnym.

Podobno p. Orliński reżyserował już „Mentora", nie chcę jednak z tej pierwszej próby żadnych wyciągać wniosków; praca p. Orlińskiego musi być długa, cierpliwa i spokojna, a wtedy dopiero można będzie wydać o niej jakikolwiek sąd. W każdym jednak razie i to pierwsze przedstawienie zrobiło raczej dodatnie wrażenie. Przypominało ono dawne popisy Szkoły aplikacyjnej, ale przedewszystkim dano nam Fredrę, a to coś znaczy, i z zapału, z jakim młodzi artyści wzięli się do pracy, sądzić można przynajmniej o ich dobrych chęciach.

Stefan Gacki.

Przegląd polityki zagranicznej.

Otwarcie sesji parlamentarnej w Austrji.

Dnia 20 b. m. nastąpiło otwarcie sesji jesiennej parlamentu wiedeńskiego. W kołach poselskich przewidują wszakże, że rozpoczynający się okres prawodawczy będzie zgoła bezowocny w rezultaty praktyczne wskutek zapowiedzianej obstrukcji czeskiej, i że sama sesja potrwa prawdopodobnie bardzo krótko. Zatamowaniem pracy parlamentu centralnego Czesi chcą zmusić do ustąpienia znienawidzony gabinet d-ra Bienertha oraz zmusić Niemców czeskich do zaniechania obstrukcji w sejmie praskim. Obstrukcja Niemców, jak wiadomo, zupełnie zagwoździła tegoroczną sesję sejmu czeskiego, który dwukrotnie próbował rozpocząć swe prace, lecz, niestety, zupełnie bezskutecznie. Wskutek nieczynności sejmu ponoszą, oczywiście, Czesi bardzo wielkie straty gospodarcze i ekonomiczne, to też pragną obecnie odpłacić Niemcom pięknym za nadobne.

Istota chronicznych zatargów czesko-niemieckich, ogromnie utrudniających prawidłowe życie parlamentarne w Austrji, tkwi w dążeniu Niemców czeskich i podziału Czech na dwie odrębne części: niemiecką i czeską, Analogiczne dążenia widzimy i wśród Rusinów w Galicji. Na taki podział Czesi, oczywiście, za żadną cenę zgodzić się nie chcą: stąd ciągłe, gwałtowne zatargi dezorganizujące Austrję i narzucające jej konieczność przejścia do ustroju federacyjnego, przy którymby zaburzenia w jednym z krajów koronnych nie naruszały prawidłowego biegu życia w innych krajach. Tymczasem biurokracja wiedeńska ani myśli zrzec się swych przywilejów na korzyść władz i sejmów autonomicznych; usiłuje jednak łatać od wypadku do wypadku przysłowiowe „dziwy austryjackie". Dla złagodzenia antagonizmu czesko-niemieckiego rząd Bienertha zaproponował w końcu roku zeszłego nowy podział okręgów wyborczych do sejmu czeskiego i stanowisk administracyjnych krajowych, projekt ten wszakże nie zadowolił ani jednych, ani drugich i miast załagodzić sprawę, tylko ją pogorszył. W przewidywaniu obstrukcji niemieckiej w sejmie praskim dr. Bienerth zorganizował w sierpniu r. b. konferencję czesko-niemiecką, która na razie doprowadziła do porozumienia. Lecz już pierwszego dnia sesji sejmu praskiego radykali niemieccy wystąpili z tak gwałtowną obstrukcją, że po kilku bezskutecznych próbach rozpoczęcia prac sejmowych sesja musiała być odroczona na czas nieokreślony.

W ostatnich tygodniach sytuacja zaostrzyła się niezmiernie skutkiem przyjęcia przez Sejmy Dolnej Austrji i kilku innych krajów niemieckich uchwały, że językiem szkół i urzędów tych krajów ma być wyłącznie język niemiecki. Otóż Czesi, którzy mają w stolicy Dolnej Austrji, w Wiedniu, całą dzielnicę czeską a na prowincji kilka tysięcy swoich kolonistów, dopatrują się w nowej ustawie językowej zamachu na swe prawa mniejszości i chęci wynarodowienia ludności czeskiej przez Niemców. Przed tygodniem specjalna deputacja czeska zwróciła się do d-ra Bienertha z żądaniem, by nie kontrasygnował uchwały językowej sejmu Dolno-Austryjackiego, przyczym jeden z delegatów oświadczył, że „w przeciwnym razie Czesi będą zmuszeni pójść za przykładem Siczyńskiego". Ta brutalna pogróżka terorystyczna, która została zgodnie potępiona przez prasę czeską, wywołała nadzwyczajne wzburzenie wśród Niemców.

Należy zaznaczyć tutaj, że ostatnie wystąpienie Czechów zmienia zasadniczo ich stanowisko w sprawach językowych: dotychczas bowiem byli oni bezwzględnymi zwolennikami załatwiania spraw językowych w sejmach krajowych.

Wobec bezwzględności i zaciekłości stron walczących stanowisko rządu obecnego jest nadzwyczaj trudne. Przyjęcie uchwały językowej sejmu Dolno-Austrjackiego grozi ustąpieniem dwuch ministrów czeskich: Zaczka i Barfa, którzy oświadczyli solidarność z żądaniem Czechów: odrzucenie — spowoduje konflikt z wpływową partją socjalno-chrześcijańską, z którą dr. Bienerth jest związany, podobno, specjalną umową w sprawach językowych.

W tych warunkach rozpoczyna swe czynności parlament wiedeński. Trudno mu wróżyć żywot długi i owocny. Drogą obstrukcji, w której Czesi są naprawdę mistrzami, będą oni dążyli do obalenia rządu Bienertha, mając nadzieję wymusić na jego następcach zaspokojenie swych żądań. Umiejętnie grając na strunach słowiańskich, Czesi nietylko zapewnili sobie poparcie „Unji słowiańskiej", lecz podobno mają nadzieję zjednać dla swych celów głosy ludowców polskich.

Ostatnie pisma austryjackie donoszą, że kryzys parlamentarny i gabinetowy jest prawie nieunikniony. Gdyby obstrukcja czeska uniemożliwiła pracę parlamentu, zostanie on niezwłocznie rozwiązany. Dla przeprowadzenia nowych wyborów będzie powołany gabinet urzędniczy z Koerber'em, Gautsch'em lub hr. Thun'em na czele.

Załagodzenie „zajścia" Charbińskiego.

Sprawa czynnego znieważenia komisarza rosyjskiego w Charbinie przez wice-konsula niemieckiego została „załatwiona" w drodze wyjaśnień dyplomatycznych. Wprawdzie, Niemcy nie przeprosiły Rosji, jako to jest przyjęte w podobnych wypadkach w stosunkach między-

narodowych i jak tego gwałtownie domagała się z początku prasa rosyjska, lecz „dały satysfakcję” na innej drodze... pociągając do odpowiedzialności przed sądem konsularnym „winnych stawiania oporu legalnym żądaniom władz rosyjskich obywateli niemieckich”. Prasa rosyjska, która nagle przybrała ton zupełnie inny, zdaje się nie zauważyła wcale, że przy *takim* załatwieniu „zajścia” została zgoła pominięta sprawa najciekawsza: czy urzędnikowi niemieckiemu wolno jest bezkarnie znieważyć czynnie urzędnika rosyjskiego, czy też nie wolno. Owszem, prasa ta podjęła z widocznym uznaniem dobrą wolę rządu niemieckiego w jego gotowości „ukarania winnych obywateli niemieckich”, zapewniając ze swej strony sąsiada zachodniego o głębokim „zamiłowaniu pokoju w duszy rosyjskiej”. Niestety, prasa niemiecka — nawet urzędowa — nie zrozumiała oświadczeń rosyjskich i zapytuje ironicznie: czy owego „zamiłowania pokoju” nie należy tłumaczyć w danym wypadku faktem gorączkowych zbrojeń Japonji?

Z PRASY.

* Po dwumiesięcznej przerwie wakacyjnej wyszły z druku dwa numery czasopisma pedagogicznego *Nowe Tory*, rozpoczynając nowy rok szkolny żałobną wieścią o śmierci wybitnego pedagoga i niepospolitego człowieka—Jana Kreczmara. Zmarły w sile wieku, bo zaledwie w 31-ym roku życia, poświęcał się pedagogice z miłością i zapałem, całą duszą oddany w ostatnich latach szkole, popieranej przez Tow. Kultury Polskiej. Kochał młodzież i swój zawód, to też stratę jego odczuwają boleśnie ci wszyscy, z którymi żył i pracował.

W numerze sierpniowym *Nowych Torów* p. Moszczeńka ze zwykłą sobie cietością pióra chłoszcze „Fantazje pedagogiczne”. Autorka w artykule p. t. „Fantazje pedagogiczne a reformy szkolne” występuje przeciw utopijnym prądom reformatorskim w pedagogice. P. M. o konserwatyzm posądzić niepodobna, ale słusznie sądzi, że „szkoła przyszłości musi wyrastać ze szkoły obecnej, szkoła wzorowa ze szkoły dobrej i coraz lepszej—mocą nieustających systematycznych wysiłków, nieprzerwanej ciągłości ofiar i niezachwianego żadnym zawodem lub przeszkodą wytrwałego dążenia do umiłowanego celu”.

Tymczasem u nas jest inaczej: chwytamy każdą „nowinkę„ pedagogiczną, nie sprawdziwszy ile jest warta i o ile da się do naszych przystosować warunków, to też projektów „szkoły wzorowej” lub „szkoły przyszłości” mamy bardzo wiele, lecz na pytanie: „Jakimi drogami zmierzać ma dzisiejsze nasze szkolnictwo, by dać możliwie jak najlepsze wychowanie jak największej ilości dzieci”—ani teorja, ani praktyka odpowiedzi nie dają.

Przyklasnąć tylko można wywodom autorki, że „gdybyśmy zamiast trwonienia czasu i energji na budowle napowietrzne zabrali sie poważnie do pracy nad podtrzymaniem i udoskonaleniem tego, co jest — bylibyśmy znacznie bliżsi celu, to jest szkoły wzorowej”.. ...„Nauczmy dzieci traktować poważnie naukę, pracę, obowiązki szkolne, a będą poważnie traktowały życie, jego cele i zadania, obowiązki społeczne. Nie my, lecz one z czasem stworzą szkołę przyszłości, może nawet szkołę wzorową, zawdzięczając jej istnienie nie wytworom naszych teorji lub naszej wyobraźni, lecz dążeniom, które im zaszczepimy”.

Ile zaś możnaby zrobić w szkolnictwie w dzisiejszych warunkach, co jest do zreformowania z pierwszym rzędzie—wykazuje Dr. T Jaroszyński w artykule p. t. „Z psychologji i higjeny wychowania”. Według obliczeń Schmid-Monnard'a liczba uczniów cierpiących na nerwowość, lękliwość, bóle głowy, wzrasta w 1-ym roku szkolnym nawet w szkołach wzorowo urządzonych i stosujących plan do wymagań higjeny i liczba ta wynosiła 13% w 1-m roku szkolnym, 24% w drugim i 50% w ostatnim. Podobne cyfry podaje Axel-Key. Okazuję się więc, że nie tyle zewnętrzna, co wewnętrzna organizacja szkoły, t. j. metody podawania wiedzy w szkołach dzisiejszych są wadliwe.

W szkołach naszych dotąd, z małymi wyjątkami, kształci się umysł i tylko umysł,—o kształceniu uczuć, woli, o wychowaniu estetycznym niema mowy.

Ta nierównomierność oddziaływania jest momentem sprzyjającym powstawaniu nerwowości u młodego pokolenia. A i kształcenie umysłu idzie drogą niewłaściwą, oparte jest na podawaniu gotowej wiedzy w postaci sformułowanych pojęć i wniosków, tymczasem nauka wymaga metod czynnych, aktywnych. Należy w szkole pobudzać młody umysł do stawiania sobie zagadnień, a nie podawać mu wiadomości w formie gotowej. Naturalny stosunek dziecka do wychowawcy powinien być taki, by uczeń pytał, a nauczyciel odpowiadał, w szkole zaś dzisiejszej jest wręcz odwrotnie. Wywody swoje autor uzasadnia na podstawie psychologji i higjeny i kończy wnioskiem, że—stawiając sprawę zapobiegania nerwowości młodzieży w szkole na szerszym gruncie psychologicznym, z konieczności napotkać musimy na patrzebę zreformowania wychowania dzisiejszego w tym duchu, aby stworzyć warunki możliwie równomiernego i sharmonizowanego rozwoju umysłowości i całej psychiki wychowańca.

Pozatym w obydwu numerach spotykamy pracę Dr. Władysława Sterlinga, p. t. „O niedorozwoju moralnym”, nader interesujący list p. Litracha „O szkołach nowego typu w Belgji” i cały szereg kwestji pedagogicznych, poruszonych przez specjalistów.

Pragnęlibyśmy zwrócić uwagę szerszych kół rodzicielskich na to czasopismo, poświęcone sprawom tak blizko nas wszystkich obchodzącym.

A. S.

Zapowiedziane przez Związek Równouprawnienia Kobiet Polskich wydawnictwo p. t. „Kalendarz kobiety polskiej” zapowiada się bardzo interesująco.

Najwybitniejsze siły kobiece obiecały swoje współpracownictwo, a więc pp. Bujwidowa z Krakowa, Szycówna „O samokształceniu pedagogicznym”, Teresa Lubińska „Z ruchu kobiecego zagranicą” dr. med. Budzińska - Tylicka, dr. fil. Reybekielowa, Szulce-Szniarowska, dr. Daszyńska-Golińska, Pachucka, Moszczeńska, Szczepaniakowa, Bojarska (Poraj), Biniekówna i wiele innych.

KRONIKA.

— Wykryto w Warszawie tajne biuro emigracyjne, które wyłudzało pieniądze od rodzin mających zamiar emigrować, pod pozorem ułatwiania wyjazdu i opłacania kosztów podróży. Podobno wiele rodzin padło ofiarą oszustwa.

— Nowy kanclerz niemiecki Bethman-Holweg jedzie do Rzymu celem porozumienia się w sprawie obsadzenia arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego.

— W Szwajcarji w okolicy Chur dało się odczuć silne trzęsienie ziemi.

— W Egipcie wzmaga się ruch anty-angielski. Podejrzywają w tym agitację niemiecką.

— W Charbinie wywiązał się zatarg między władzami rosyjskimi a konsulatem niemieckim.

— D. 6 b. m. wybrani zostali do Rady Państwa następujący posłowie z Królestwa Polskiego: L. br. Kronenberg, p. Stefan Wielowieyski, Zygmunt hr. Wielopolski, Ignacy Szebeko, Józef Ostrowski i Stefan Godlewski.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. R kopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.